



# PISMO DLA RODZIN.

**№ 2.** Warszawa, dnia 2 (14) Stycznia 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

| W Warszawie z odnoszeniem do domu: | | na prowincyi w Cesarstwie i Królest. | |
|---|---|---|---|
| rocznie. . . . | rs. 6 k. „ | rocznie . . . | rs. 8 |
| półrocznie. . | „ 3 „ „ | półrocznie . | „ 4 k. „ |
| kwartalnie. . | 1 „ 50 | w Austryi roczn. | 14 guld. |
| miesięcznie . | „ 50 | w Prusach „ | 24 marek. |

**Opiekun Domowy** wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy: w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12. w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.




## Jan Chęciński.

Literatura nasza i scena, nie małą poniosły w ostatnich czasach stratę przez śmierć Jana Chęcińskiego, jednego ze zdolniejszych pracowników na obu polach. Urodził się Chęciński w Warszawie 1826 r. Młodość jego można uważać jako piękny przykład samopomocy wcześnie bowiem ś. p. Jan zaczął iść o własnych siłach. Kształcił się początkowo w gimnazyjum, następnie w szkole dramatycznej warszawskiej. Pierwszy raz wystąpił w komedyi Bogusławskiego pod tytułem „Lwy i Lwice," i już wówczas można było rokować, że jakkolwiek nie zostanie nigdy genijuszem w całem znaczeniu tego słowa, niemniej będzie jednym ze zdolniejszych i inteligentniejszych pracowników. Odtąd brał on już udział we wszystkich znakomitszych przedstawieniach. — Piękny głos, głębokie zrozumienie rzeczy i niekłamane uczucie, stanowiły najcelniejsze jego zalety, jak znowu pewna miękkość wyłączająca silniejszą charakterystykę, była wadą z którą nieboszczyk walczyć musiał w ciągu całego swego scenicznego zawodu. Kilkakrotnie bywał reżyzerem naszej sceny, i z tych trudnych obowiązków wywiązywał się jak umiał, a raczej, jak mógł najlepiej. Niejednokrotnie wprawdzie prasa przyganiała kierunkowi, jaki scenie nadawał, trzeba jednak na usprawiedliwienie jego, przytoczyć trudne i bardzo trudne okoliczności w jakich się znajdował, i smak naszej publiki, nie zawsze zgodny tak z wymaganiami prasy jak i z osobistym sma-



kiem Chęcińskiego. Potrzeba było godzić te nieraz kierunki; potrzeba było i dochodom teatralnym nie przynieść szczerby, i dźwigać na ramionach odpowiedzialność przed opiniją publiczną. Dodajmy do tego niechęci, jakich przedmiotem niejodnokrotnie bywał zmarły, i przeszkody jakich nie omieszkali mu stawiać „najserdeczniejsi“ a z łatwością przebaczymy mu błędy, jeżeli jakie w tym prawdziwie cierniowym zawodzie reżyserskim popełniał.

Większe jednak i donioślejsze ma znaczenie działalność literacka Chęcińskiego. Próby jego liryczne jak np. „*Anioł i Czart*“ *Strofy ulotne*“ i t. p. są to poemata niezbyt wprawdzie szerszego polotu, ale odznaczające się pięknym i swobodnym językiem, a przytem i prawdziwem uczuciem. Ton ich jest przeważnie ludowy, pełen prostoty. Poeta idzie tu wszędzie w ślady za swoim przyjacielem i mistrzem Syrokomlą. Taż sama łatwość zewnętrzna, swoboda w połączeniu z wielką rzewliwością, przechodząca zwłaszcza u Chęcińskiego w zbyt mięki sentymentalizm. Nie chcemy tu porównywać tych dwu pisarzy; Litewski śpiewak nieporównanie wyżej stoi od zmarłego poety; chcemy tylko zwrócić uwagę czytelników, na tożsamość szkoły. Syrokomla jest w niej nauczycielem— Chęciński uczniem: ale uczniem jednym z najzdolniejszych i śmiało w ślady mistrza idącym.

Nie liryka jednak ale komedyjopisarstwo było najwłaściwszem dla Chęcińskiego polem. Pierwszą jego komedyją p. t. „*Poeta*“ odegrano w 1851;— były to prawdziwe pierwociny na ołtarzu sztuki. Komedyja upadła po pierwszem przedstawieniu. Inne następne, po największej części jedno aktowe utwory jak np. „*Rozwód czyli dwie mężatki*“ *Cicha woda brzegi rwie*“ i t. p. nie cieszyły się także, ani zbyt wielkiem uznaniem krytyki, ani długiem życiem na scenie.

Największą popularność zyskała Chęcińskiemu komedyja p. t. *Szlachectwo duszy*. Treścią jej, jest starcie się życiowe dwu obozów; ludowego i arystokratycznego; sensem moralnym zaś, że największem i najprawdziwszem szlachectwem — szlachetność duszy i postępków. Czystość tendencyi, szlachetna prostota środków jakich używa autor, a na koniec wielka jego i prawdziwie obywatelska miłość do obu obozów, będąca syntezą ich starcia się, zjednały sztuce wysoką sympatyją, i długotrwałe powodzenie. Autor stawia wprawdzie kwestyją nieśmiało; ironija jego łagodna jest, walczy w gruncie rzeczy o nie zasady ale raczej o przyzwyczajenia, na usprawiedliwienie jednak autora należy przypomnieć, że były to inne niż dziś czasy; że las wzajemnych uprzedzeń dwu obozów, gęstszy był, bardziej zarosły, i że autor musiał być do pewnego stopnia pijonierem.

Drugą większą komedyją Chęcińskiego była kom: p. t. „*Porządni ludzie*“. Według naszego zdania sztuka to najlepsza ze wszystkich. Autor uderza w niej na ludzi, którzy pod przywoitą zewnętrznością i staranną formą, pokrywają wielką pustotę i nicość głowy i serca. Są to po części obłudnicy, głównie jednak egoiści. — W życiu uchodzą za ludzi uczciwych i w całem znaczeniu tego wyrazu „porządnych“. Są nawet stawiani za wzór innym. Otóż autor zdziera z nich maskę bez miłosierdzia ukazując ich „bez serc, bez ducha“! Typy „porządnych ludzi“ przedstawione są może nie tak subtelnie, jakby tego przedmiot wymagał, nie mniej jednak pomyślane wybornie. Komedyja ta, która przedstawiana w wyjątkowych okolicznościach, nie dość dobrze została ocenioną i poznaną, zasługuje najzupełniej na wznowienie.

Pomijamy inne pomniejsze prace Chęcińskiego. Wszystkie one odznaczają się jednemi przymiotami i jednemi wadami. Jest w nich pewna niewyraźność, miękość i trochę ckliwy sentymentalizm; ale z drugiej strony odznaczają się prawdziwie obywatelskim duchem, czystością intencyi, słodyczą i głównie: ciepłem, ciepłem jakie rzadko u którego z pisarzy znaleść możemy.

Jeżeli do powyższych cech, dodamy jeszcze piękną, spokojną i harmonijną formę, wówczas przymioty ich o wiele od wad będą wyższe.

Przymioty te jednak, dochodzą do najwyższego stopnia w utworach Chęcińskiego, przeznaczonych dla dzieci, w których kto wie, czy nie największa leży zasługa zmarłego autora. Ubył w nim dzieciom przyjaciel kochający, szczery, który i zaciekawić umiał i nauczyć.— Ileż to dzieci uczyło się pierwszych liter na jego książkach; ile umysłów rozwijało się na jego bajkach, powiastkach i opowiadaniach historycznych?!

Jako pisarz dla dzieci, Chęciński zajmuje wysokie miejsce między nielicznym pocztem pracowników na tem polu. Jasność, trzeźwość, miłość dla dzieci i wyrabianie w nich miłości do wszystkiego co swojskie, oto cechy które mu umiały zawsze zjednać zarówno serca rodziców jak dzieci. Te ostatnie, prawdziwą i ciężką poniosły stratę.

Był to człowiek niesłychanej pracy i wytrwałości.

Ta jego działalność, o której wspominaliśmy, była owocem jego ducha, natchnienia i serca, ale po za nią ciągnie się niesłychanie długi szereg prac rzemieślniczych, męczących, nieraz poniżających nawet ducha poety— prac dla chleba. Niedostatek pukał ustawicznie do jego drzwi; obarczała go bardzo a bardzo, liczna rodzina, dla której dzień i noc pracować musiał chwytając wszystko co mogło dać jaki dochód, tłumaczyć powieści, libretta do oper i tem podobnie! Praca taka wyniszczyła wątłe siły, a cierpienia podkopały je do reszty. Był to człowiek dziwnie nieszczęśliwy przez całe życie. W ostatnich czasach chorowały mu dzieci jedno po drugiem na tyfus; niedostatek wdarł się do jego domu; niechęci i prześladowania posunęły się do ostatniego stopnia. Żywy, obdarzony niezwykłą wrażliwością czuł każdą rzecz głębiej, a każde nieszczęście stokroć boleśniej: a tu tembardziej ścigała go nizka nienawiść ludzka: drukowano nań paszkwile nie szczędząc nawet jego życia prywatnego. Chęciński zapracowywał się, zamęczał, gryzł się i dręczył, cierpiał za życia prawdziwe męki czyśćcowe—wreszcie upadł pod ciosami niedoli: zmarł!.

Zostawił dzieci w niedostatku. Ale człowiek ten, który tyle zrobił dla dzieci nas wszystkich, miał prawo spodziewać się że i my też coś dla jego dzieci zrobimy. *S.*

## ENTUZYJAZM I WYTRWAŁOŚĆ.

Trafiło się raz, żem się znalazł w bardzo licznem towarzystwie ucztujących gości. Wesoły śmiech i gawęda nieustawały ani na chwilę — czas mijał ochoczo. Wtem jeden z gości wskoczywszy na stół, uciął nam następującą mówkę: „Panowie! Od roku już ogłoszono składki na cel instytucyi, której pożytek wszyscy uznajemy a która pomimo to, nieumiała dotyla zjednać sobie sympatyi, ażeby ogół myślący jakie takie udzielił jej poparcie. Najzacniejsze usiłowania przepadną, jeśli im odmówimy pomocy. Wiem że w sercach waszych płonie zawsze święty zapał do wszelkich czynów uczciwych, wiem że bylibyście gotowi poświęcić grosz wdowi dla dobra instytucyi, która krajowi pożytek a wam chlubę prawdziwą przynieść może. Pomyślcie tylko, ile błogich następstw sprowadziłaby dla ogółu drobna ofiara z waszej strony, pomyślcie że parę złotych odłożonych co miesiąc, byłyby aż nadto wystarczającym zadatkiem przyszłego powodzenia. W imię więc tych zasad proszę o składkę jak najmniejszą, ale stałą. — Skończyłem.

Mówcę zniesiono ze stołu, obnoszono na ramionach, winszowano, klaskano i w kapeluszu wnioskodawcy, znalazło się naraz kilkaset rubli a wszyscy obecni zobowiązali się składać co miesiąc po rublu. Powodzenie było niezwykłe—najmniej zamożni oddawali wszystko co przy sobie mieli — suma rosła z każdą chwilą.

Czy sądzicie jednak że z obecnych choć jeden pamiętał o następnej racie miesięcznej? Żaden. Dali tylko ci których bardzo naciśnięto — dali narzekając na ciężkie czasy.

Tak to już zawsze u nas. Nic łatwiejszego jak uchwycić za serce, wtedy oddalibyśmy ostatnią kapotę—ale przyuczyć nas do nierównie mniej kosztownego wydatkowania na cele ogólne, stale — niepodobna. Nigdzie chyba nie ma tylu ludzi zarabiających wiele a ni gdy nic nie mających co u nas. Są to niewolnicy wrażeń często nawet szlachetnych — ale zawsze niewolnicy. Opanować twierdzę nieprzyjacielską byłoby im łatwiej, aniżeli własne potrzeby. I toż samo odnośnie do spraw duchowych. Współczucia mamy w sobie ogromne zapasy; najgorszemu nieprzyjacielowi gotowiśmy przebaczyć, gdy tego rozbudzony w nas zapał domagać się będzie—ale też równie łatwo wpadamy w niechęć i w gniew srogi, za pierwszem lepszem podejrzeniem. Nierozważywszy dokładnie co kto wart i do czego zdolnym być może, a potem pod wpływem jednego zawodu robimy zdrajców z bohaterów, i przeklinamy tych którycheśmy przed chwilą ubóstwiali. Ale najgorsza bieda wtedy, gdy sprawa jaka wymaga umiarkowanej ale stałej pomocy. Ogłasza ktoś wydawnictwo zeszytowe — zachwycamy się niemi rozkupujemy pierwsze i.. zapominamy o dalszych, *notabene* jeśli nie chodzi o Tajemnice madryckiego lub paryzkiego dworu. Wydawca podwaja nakład i traci. Zakłada ktoś towarzystwo. — Bawi nas ono i zachęca; zapisujemy się hurmem, płacimy wkłady, przepełniamy salę na pierwszem zebraniu i nie przychodzimy na drugie. Jeżeli zaś objawimy kiedy stałość, to najczęściej

nie dla zasady lub z powodu gruntownej rozwagi, lecz *z nałogu*. Z nałogu prenumerujemy Gazetę Warszawską lub Kuryjer Warszawski, z nałogu chodzimy do jednej cukierni, z nałogu potępiamy różne innowacyje, z nałogu kupujemy kalendarze i wyrzekamy na ciężkie czasy. Ale gdy chodzi nie o poddanie się mimowolnemu przyzwyczajeniu, lecz o wytworzenie nowego, na podstawie rozwagi i szerszego objęcia czasu—nie ma nas!

Współczesny nastrój duchowy obudził w nas żyłkę przedsiebierczą; mając garstkę kapitału w ręku, rozmyślamy co to z niego zrobić można, schodzimy się w kilku, wydajemy sobie wzajemnie śniadanka i bierzemy się najczęściej do rzeczy o której nie mamy najmniejszego pojęcia, ale która nas chwilowo zentuzyjazmowała. Oczywiście, gdy po kilku miesiącach okaże się, że przedsiebierstwo chociażby najpraktyczniejsze, nie może dawać odrazu procentów, że wymagałoby długich jeszcze starań i wytrwałej pracy, puszczamy wszystko na marne i rozmyślamy o nowych lepszych interesach, klnąc żydów i niemców. Toż samo zawsze i wszędzie. Urządza ktoś odczyty dla kobiet: rzecz nowa i pożyteczna, program dobrze obmyślany, wykłady doskonałe — słuchaczek coniemiara. I chemija i fizyka, narówni z estetyką wprawiają w zachwyt zapalone uczennice...notują ,rozprawiają, wysławiają Ale przychodzi jakiś tam wieczorek, trzeba się na pół dnia przed tem wystroić należycie, jedna i druga więc opuszcza lekcyję jednę i drugą i... po kilku tygodniach sale prelekcyjne świecą pustkami—zakład zostaje zwinięty. „Bo to proszę pana,“ mówił mi jeden przedsiebiorca, „u nas wszystko zależy od chwilowego zapału. Kropnij porządną reklamę, choćby o kawie figowej, lub „mechanicznych maszynkach“ do ostrzenia nożów, a w ciągu jednego dnia wykupią ci najlichszy towar za bajeczne sumy — ale choćbyś pracował jak wół i przez długie lata dobijał się uznania, nic nie zrobisz, jeśli nie potrafisz rozbudzić w ludziach zapału i otumanić łatwowiernych choć na chwilę.“

Czyżby istotnie tak źle było? Odtrąciwszy to co na ogólno-ludzkie słabostki przypada, wypadnie jeszcze niewątpliwie spory procent na rachunek naszego, nam przedewszystkiem właściwego temperamentu—nad którego poprawą—przyznajmy to szczerze—bardzo mało pracujemy. A przecież nie klimat temu winien, ani warunki czasowe — ale po prostu: wychowanie. Jakże mało dziś jeszcze dbamy oto ażeby dziecko przyuczyć, przyzwyczaić do pewnej systematycznej stałości w zajęciach i rozrywkach! Od maleńkiego pozwalamy mu przerzucać zabawkę po zabawce, książkę po książce, bez gruntownego zużytkowania najprzód jednej, potem dopiero drugiej. Sami ulegając wrażeniom i kaprysom i w dzieciach wytwarzamy to przekonanie, że wszelka systematyczność, konsekwencyja, jest pedanckim wymysłem, z którego śmiać się tylko można i niepomyślimy nawet nad tem, ażeby dziecko nauczyć obejmowania jakimkolwiek *planem*, szerszych zakresów czasu i zakładania sobie celów, chociażby drobnych, do których dąży się z wolna lecz wytrwale. Czy nie prawda? Jeśli nie, to przebaczcie nam kazanie i powtórzmy chórem: „jakoś to będzie.“

*J. O.*

# WYCHOWANIE LUDU,

PRZEZ

Emila Laveley'a

przełożył

**Ludwik Szteinbok.**

Dalszy ciąg.

## ROZDZIAŁ II.

Nauka przymusowa i środki jej zastosowania.

Współudział władz publicznych konieczny jest, gdzie idzie o dostarczenie narodowi możności nabywania nauki. Wszędzie gdzie niema tego współudziału, cywilizacyja stoi na najniższym stopniu: nie będzie można zacytować ani jednego kraju, w którymby pojedyncze usiłowania, wsparte nawet pomocą różnych potężnych stowarzyszeń naukowych, kościoły lub korporacyje, były w stanie otwierać dostateczną liczbę szkół.

Lecz czyż to dosyć żeby Państwo otwierało dostateczną ilość zakładów naukowych, czyż nie potrzeba jeszcze żeby zmuszało do posyłania dzieci do szkół początkowych. (*).

Niema kwestyi nad którąby tak debatowano w ostatnich latach, jak nad kwestyją przymusowego nauczania, w tych krajach, w których jej dostatecznie jeszcze nie rozwinięto. Kilku kompetentnych pisarzów francuskich, a między niemi p. Wiktor Cousin, w dziele swojem często cytowanem przy wykładach w Prusach, traktowali już o niej, a także traktuje o tem w raporcie urzędowym jeden minister, który wychodząc z granic przyjęcia czysto teoretycznego tej zasady, nie miał obawy dopominać się o prawo, któreby niedozwalało nikomu zostawiać swych dzieci w ciemnocie. Propozycyja p. Duruy, powtórzona przez p. Julijana Simon, podniosła tak żywe opozycyje i tak prawdziwe obawy, że należy nam ze skrupulatną uwagą, zbadać przyczynę tych opozycyj i obaw.

Aby nałożyć na naród przymus jaki, potrzeba przedewszystkiem zbadać, czy przymus ten jest sprawiedliwy, użyteczny i dający się zastosować, czyli żeby w zastosowaniu go, straty nie przewyższały korzyści. Ze względu więc na te trzy warunki, będziemy rozbierali kwestyją przymusowego nauczania.

Ci tylko, którzy nie widzą różnicy między złem a dobrem, mogą utrzymywać że wolność człowieka jest nieograniczoną. Jak tylko jest widocznem, że pewne postępki są szkodliwe, to trzeba się zgodzić, że nikt ich nie ma prawa popełniać.

Jeżeli postępek jaki szkodzi tylko temu kto go popełnia, lub kiedy taką krzywdę przynosi drugim, że byłoby szkodliwszem karać go niż tolerować, wtedy potrzebną jest tolerancyja. Przeciwnie zaś, jeżeli czyn jaki krzywdzi drugiego i łatwy jest do ocenienia, a kara jest użyteczną, społeczeństwo nietylko wtedy ma prawo, lecz nawet obowiązek, stanąć w obronie pokrzywdzonego.

Kto popełnia czyn niesprawiedliwy i szkodzący; podlega przepisom prawodawstwa karnego. Otóż temu wypadkowi ulegają rodzice, którzy odmawiają swym dzieciom początkowej nauki, bez której one, nie mogą stać się inteligentnemi i moralnemi. Rodzice tacy postępują wbrew prawu natury. Odmawiając dzieciom pokarmu duchowego, czynią tak samo, jakby im odmawiali środków do utrzymania sił fizycznych. Szkodzą oni także społeczeństwu, bo wprowadzają w jego łono ludzi bez najmniejszego wykształcenia, skłonnych tem samem do błędu, niemoralności i zbrodni, ludzi, którzy będą tylko przyczyną bezprawia, nieporządku i kosztów. W czynie więc takiego ojca znajdują się elementy tworzące zbrodnię, której prawo może przeszkodzić lub ją karać (*).

Większa część autorów piszących o prawie natury, twierdzi powszechnie, że rodzice winni nie tylko żywić, ale kształcić swoje dzieci. Pokarm tak koniecznym jest dla umysłu, jak i dla ciała. *).

Podług Puffendorfa, dzieci mają prawo żądać od rodziców pokarmu, pod którym rozumie on nie tylko to, co potrzebne jest do utrzymania życia dziecka, lecz i to, co je ma uczynić pożytecznym członkiem społeczeństwa i dobrym obywatelem.

P. J. J. Hans, Profesor Uniwersytetu w Gandawie, cieszący się wielką powagą w Belgii, przedstawił jasno zdanie najpoważniejszych pisarzów, w następującym ustępie: „ §. 262 Obowiązki rodziców względem dzieci.“ Pierwszy jest żywić dzieci, drugi dać im edukacyję (educandi liberos), to jest uprawiać i rozwijać siły dzieci i zdolności tak cielesne jak duchowe, aby mogły żyć i działać, jak istoty obdarzone rozumem i wolnością.“ *).

Możemy tylko przyklasnąć tem pieknem słowom; szkoda tylko że nowy kodeks karny

(*) Wychodząc z zasady wolności, jesteśmy przeciwni wszelkiemu *zmuszaniu*, nawet do oświaty—zamieszczamy jednakże rozumowania autora, ponieważ opinija przeciwna jest dziś prawie powszechnie przyjętą. Wkażdym razie będzie to dla światłego czytelnika obfity materyjał do rozwagi *P. R.*

*) N. W. Senior ekonomista angielski, w swoich „Sugestions on popular education” z największą ścisłością przedstawia prawdziwe zasady w tym względzie: 1-o Celem społeczeństwa jest opiekowanie się prawami jednostek. 2-o Dorośli mają tak samo prawo do opieki jak dzieci 3-o. Nauka jest tak jak pożywienie potrzebną dziecku 4-o Rodzice tak samo są obowiązani uczyć, jak i żywić swoje dzieci. 5-o Winno więc społeczeństwo czuwać, aby dziecko było i żywione i uczone.

*) Słyszałem raz słowo, które siłę tego twierdzenia, wpoiło w głąb mojej duszy. Idąc w Engandine wąwozem Iluela, spotkałem kobietę ze wsi Süss, dokąd zdążałem, szliśmy więc razem. Mówiłem z nią o jej dzieciach i zapytałem czy chodzą do szkoły „A jakże, zmuszają je do tego, odpowiadziała. Czyż u was nie jest tak samo? Bardzo była zdziwioną, kiedym jej odpowiedział, że nie. „Jakże to może być mówiła, aby istniał w świecie kraj, w którymby rodzice bezkarnie popełniali zbrodnię nie uczenia swych dzieci” Przechodząc następnie wysoką dolinę w Inn, podziwiałem te piękne wioski, tak błogie w okolicy którą śnieg przez 6 miesięcy pokrywa, i która ma klimat północny, dobrobyt jednak tych okolic w tak niemiłym klimacie będących, niezadziwił mnie, bo wiedziałem że nauka sprawiła tataj to, co czyni wszędzie.

*) Elementa doctrinae juris philosophciae sine juris naturalis.

w Belgii, w redakcyi którego P. J. J. Hans czynny brał udział, nie naznacza żadnej kary na tych, którzy nie wypełniają owych z natury płynących obowiązków, istnienie których uczony ten profesor tak jasno przedstawia. W wykładzie swoim w uniwersytecie Gandawskim, P. Hans przekonywał nie tylko o obowiązku rodziców, kształcenia dzieci, lecz i o prawie tychże dzieci, domagania się tego od rodziców.

„Z pobudek które wymieniliśmy mówi on, dzieci mają prawo żądać od rodziców utrzymania, kształcenia i opieki. Kształcenie które polega na rozwijaniu sił umysłowych i cielesnych, jest w części fizyczne, moralne i intellektualne.“

Jeżeli więc dzieci z prawa natury mają możność żądania od rodziców nauki, jasną jest rzeczą, że państwo będące opiekunem praw nieletnich, powinno zmuszać niegodnych rodziców do wypełniania obowiązków.

Żadne dzieło chociażby najmniejszej wartości, traktujące o prawie natury, nie przeczy tej zasadzie. W Niemczech zajmuje się nią specyjalnie kilku autorów *) a na międzynarodowym kongresie dobroczynności we Frankfurcie w r. 1857 uświęcono ją w następujących słowach:

„Elementarne wykształcenie, które każdemu jest potrzebne.... winno być przymusowe, czyli że żaden ojciec lub opiekun, nie ma prawa uchylać się od obowiązku dania dziecku nauki, zachowuje on jednak swobodę w wyborze takiego rodzaju kształcenia, takiej szkoły lub zawodu, jaki uznaza najodpowiedniejszy dla dziecka.“

Doktór Stubenrauch, Komisarz drugiego Wydziału, w następny sposób usprawiedliwia zasadę, którą kongres jednomyślnie przeprowadził.

„Na wstępie możnaby znaleść pewien rodzaj sprzeczności w ogłaszaniu, z jednej strony przymusowego nauczania, z drugiej zaś zasady swobodnego kształcenia, lecz ta sprzeczność jest tylko pozorną i ostatecznie przedstawia się w najzupełniejszej harmonii. Uznajemy w istocie wolność indywidualną człowieka, wolność ta jednak nie jest nieograniczoną, a wspólny interes, prawo powinno urządzać jej używanie, nadając wysoką sankcyją zobowiązaniom, mającym swoje źródło w przepisach religii i moralności.

Wolność ojca lub opiekuna i ich prawo nad dzieckiem lub pupilem, nie sięga aż do nadużycia tego prawa i zwolnienia od obowiązków, jakie ich ciążą, dziecko ze swej strony ma także niemniej święte prawo: być przypuszczonem do dobrodziejstwa nauki odpowiedniej jego przeznaczeniu. Z pewnością do ojca lub opiekuna należy staranie się aby to prawo dziecka było wypełniane, lecz i państwo ma obowiązek do pewnego rodzaju opieki w tym względzie. Powinno czuwać aby rodzice uznawali swoje obowiązki, pomagać im, i w potrzebie zmuszać do czynienia tego, czego wymaga przyszły dobrobyt dzieci. Gdzież bowiem jeżeli nie u władzy znajdą ucieczkę nieszczęśliwe dzieci, nie będące w stanie samodzielnie uchronić się od niebaczności rodziców, ich złej woli i zaślepienia.

Idzie nam tu nietylko o interesa dziecka, lecz i społeczeństwa, wymagające stanowczo aby jak można najwięcej wyniszczać źródło występków, nędzy i zbrodni, jako naruszających jego spokojność. Otóż źródło to leży przedewszystkiem w ciemnocie i niedostatku nauki. Zbiera się zwykle to, co się zasieje, pod pretekstem powagi rodzicielskiej, toleruje się zabójstwo moralne, za które źli rodzice stają się odpowiedzialni względem swych dzieci, trzeba się przygotować na coraz bardziej zwiekszającą się liczbę biednych, żebraków, włóczęgów i zbrodniarzy. I pod tym więc względem interwencyja państwa jest najzupełniej usprawiedliwioną, a interwencyja ta streszcza się w przeszkadzaniu czynienia nadużyć, w protegowaniu sprawiedliwych czynności. W tem to znaczeniu nauka powinna być przymusową z pozostawieniem wszakże rodzicom, prawa wyboru takiego rodzaju zawodów dla dziecka, takich szkół i nauczycieli, jakich uznają za najodpowiedniejszych“

P. Rendu autor, którego opinije w tym względzie obok tych, które z rodzajem nienawiści odrzucają przymusowe nauczanie, — mają wielką doniosłość, w raporcie przedstawionym w r. 1853 rządowi francuzkiemu, wyraża się prawie tak samo jak doktór Stubenrauch.

Czy ojciec sam, mówi on, kształci swoje dzieci, czy powierza to szkołom publicznym, duchownym lub świeckim, czy wreszcie prywatnym, nie przestaje mimo to być niezależnym, a nawet samowładnym w wykonaniu misyi, nie przez prawo, lecz przez samego Boga mu nadanej, a o spełnianiu tej misyi nawet Państwo nie może go przekonać, lecz tylko jeden sędzia, to jest własne jego sumienie.

Lecz jeżeli ojciec odstępuje od roli jaką mu prawo natury nadaje, jeżeli gardzi swojemi obowiązkami, społeczeństwo przez swoich reprezentantów, strzeże w duszy dziecka warunków życia moralnego. Społeczeństwo działa tu w imię podwójnego prawa: w imię słabego, którego bierze pod swą opiekę i w imię własnej korzyści, bo tu idzie o jednego z jego członków. Gdzież tu jest ucisk, gzie nadużycie siły? Ten udział władz publicznych, czyż nie stanowi najwyższego hołdu jaki w społeczeństwie chrześcijańskiem, winien być oddany godności duszy ludzkiej?.

d. c. n.

*). Patrz na przykład Johan Lange. De obligatione educanti sobolem.

# ŚWIETNE WIDOKI PANI MARCINOWÉJ.

## OBRAZEK Z ŻYCIA POWSZEDNIEGO.

przez Felicyjana.

(ciąg dalszy)

### ROZDZIAŁ VIII.

**Laokonowe ostrzeżenie.**

Kiedy zajechał wóz z rzeczami, Julka poszła patrzeć. Był stolik składany z zielonem suknem, samowar, łóżko *zielazne*, komoda bez jednej nogi, krzesła *wypletune* (z tych giętych, co to choć na nosie sobie postawić, takie lekkie) szczoteczki jakieś okrągłe nie wiadomo do czego, ale Julka zaręczała że ze *śrybła;* były i lichtarze, ale już nie nowe.

Zaglądali jeszcze przez dziurkę od klucza razem z Felkiem od maglarki. Julka wyraźnie widziała materac, ale tamtemu się przywidziało że to siennik. — Głupi — albo on się zna! Materac, to jest taki, co w pasy; a siennik to przecię z płótna, co nawet worki z niego robią do kaszy. — Skutkiem tego zaczęli się sprzeczać, następnie wywieszać sobie języki, aż się wreszcie pobili ku wielkiemu zgorszeniu starego profesora, który wypadł do nich w szlafroku.

W porze po południowej zaszedł do sklepiku pan Jacenty. Był w dość kwaśnem usposobieniu — zdechła mu bowiem sikora. Na wiadomość o nowym lokatorze, niechętnie pokręcił głową.

— Paniczyk! tacy to najczęściej nie płacą.

— Ale dał przecie zadatku trzy ruble.

— At, gadanie. On i ten zadatek odbierze, i jeszcze przypożyczy — zobaczycie. Pilnujcie się tam, radzę, pani siostro. Znam ja takich ptaszków. Albo to jeden podobny na Lesznie za kratkami siedzi? Dorożką to grzmi dwuzłotową, śniadanka za cudze pieniądze zjada — w Tivoli na głowie stawa — a przy stoliku, to na prawo i na lewo — znam ja, znam.

— Et, albo to wszystko prawda — rzekła Julka, — karmelek mi dał, a pierwej *dziesiątkię*.

Pan Jacenty srodze się zaperzył.

— A co? nie mówiłem? Nie moralny człowiek, nagannych obyczajów — ladaco, — jak tu takiego do domu wpuszczać?

— Ale zaś, mój bracie. Toćże wikarego samego zna.

— A dajże mi wasani pokój z twoim wikarym. Wikary! wikary! cóż to wielkiego? To dopiero! Głowę mi suszyć wikarym! — To powiedziawszy, odszedł bardzo poważnie, a pani Marcinowa (jak mówiła potem) długo jeszcze języka w *gębie* doszukać się nie mogła.

Wieczorem, kiedy Agatka była już z powrotem, w izbie za sklepikiem rozmawiano właśnie o zdechłej sikorze. Jerzuś nie umiał ukryć swego tryumfu — Jerzuś dowodził nawet: że to już oddawna przewidywał, — ale nie byłby tego powiedział w obecności pani Marcinowej, bowiem przewidywanie było wyłącznym udziałem pana Jacentego. W tem, do sklepiku wszedł pan Edward wziąść klucz od mieszkania. Agatka czemprędzej spojrzała przez szybkę we drzwiach, za nią w te pędy Magdusia i Jerzuś, i wszyscy troje jednocześnie wykrzyknęli: — a co?

Kiedy pani Marcinowa weszła do izby, Agatka wzięła ją na bok.

— A wie mama co? To ten sam co mię gonił.

— Et, co ci się tam przywiduje.

— On sam, jak matkę kocham.

— On, on — powtórzyła Magdusia. To ci się to ma za niewiem tam co. Arroganty te jakieś! *Zaczypują* tylko nieustannie — człowiek spokojnie przez ulicę przejść nie może...

— Ja także zapewnienie mógłbym ofiarować — że to on, rzekł górnie Jerzuś.

— E zaś! taki dobrze wychowany.

— Chciał mi koniecznie rękę podać.

— No widzisz, z grzeczności — tego, a tyś zaraz uciekła, jakby cię w lesie kto wyląkł: Ładny chłopiec, dodała zamyślona.

— Ja tam nie potrzebuję.

— Co mi za ładny, podchwyciła Magdusia, taki jak drudzy. Nawet nie uważałam. Ktoby się tam takim przyglądał?

— *Cóziem* ci chciała powiedzieć — rzekła pani Marcinowa. No, no, nie bójcie się — już ja go sama wyżyłuję: czy to on był, czy nie on? Zje dyjabła chcę mówić — ho — ho! nie w ciemię ja bita.

O! ona była bardzo przebiegła, trzeba wiedzieć — ta dobra babina. Toćże kiedy nieboszczyk rewizor nie mógł jakoś wyjąkać *oświarczenia*, ona mu powiedziała krótko a węzłowato: — Tu jest wóz, a tu jest przewóz. Albo dawaj wasan na zapowiedzi ślicznie, pięknie, albo wędruj sobie na *štyry* wiatry podkute, i niech cię więcej oczy moje nie widzą. Ona już bowiem wprzódy dokładnie zrewidowała jego serce, i wiedziała: że może go choćby śpilką podwójną przygwoździć do ściany.

Jerzuś dość jakoś markotny dnia tego poszedł do domu. Pan Jacenty, człek wysoce zarozumiały, widząc to, myślałby koniecznie: że to skutkiem zdechnięcia jego sikory — ale byłby w błędzie, jakbądź pomijając wiele innych przymiotów, miał się także za nieomylnego.

## ROZDZIAŁ IX.

### Ulisses obfity w fortele.

Kiedy nazajutrz pan Edward przyszedł z rana klucz w sklepiku zostawić, pani Marcinowa zatrzymała go na pogawędkę.

— Już to życie kawalerskie, to bardzo jest przyjemne — rzekła z kopyta.

— Ach — co też pani rewizorowa dobrodziejka mówi — nic nędzniejszego, człowiek sam jeden oto, jak palec, na świecie...

— E, nie braknie przecię panienek.

— Jakto panienek?

— No — po magazynach.

— Albo to są magazyny z pannami? rzekł wesoło.

— O! i jak! A na Freta?

Pan Edward spoważniał nagle, i przez chwilę pomyślał z zastanowieniem.

— Freta? pierwszy raz słyszę. Czy to gdzie blisko?

Pani Marcinowa hucznie się rozśmiała.

— O! o! jak to pan wybornie udaje.

— Słowo honoru pani rewizorowej daję, rzekł Edward niezmieszany — że nawet nie rozumiem, o co tu chodzi. Wyraźnie jakaś plotka. Tej części miasta nie znam zupełnie. Od czasu przybycia mego do Warszawy, stałem wszystkiego w hotelu Białostockim — zaraz pokażę w paszporcie.

Pani Marcinowa straciła rezon.

— O! na cóż to? Ja przecie nie taka...

— Ale owszem. Ja nie chcę, żeby na mnie ciężyło niesłuszne podejrzenie.

Tu koniecznie sięgał do kieszeni, ale mu pani Marcinowa surowo zabroniła,

— Proszę pana mojego — ja tylko tak żartowałam.

— Ja pani rewizorowej powiem otwarcie, prawdę mówię, niech mię Bóg skarze — słowo honoru — jestem syn obywatelski, przybyły tu czasowo, słowo honoru...

To posłyszawszy pani Marcinowa uczuła



Skutkiem tego zaczęli się sprzeczać, następnie wywieszać sobie języki.

gorzki wyrzut sumienia, i przerwała czemprędzej prostując się z partesa.

— Jakże godność? jeśli mam przyjemność tego...

— Edward Mennicki.

— A! bardzo mi miło — przez urazy — bez urazy chcę mówić — pańskiej. Przepraszam



Jeżuś dość jakoś markotny dnia tego poszedł do domu.

że śmiałam, że z przeproszeniem — że przez pozwoleństwa. — Masz tobie! bodajś kołem stanął ty ozorze przeklęty — pomyślała w duchu, tom się znów zbajała! —

Ażci w tem pan Edward rozśmiał się na całe gardło, i rzekł całując ją w rękę.

— Ha! ha! jużto przed kochaną, najłaskawszą panią, to widzę nic się nie utai, choćby i pod ziemię schować. O! jest rozumek, i doświadczenie, i oko bystre i znajomość ludzi jest. Tak, tak, nie ma co ukrywać dłużej, zgadła najdroższa pani. Ja tam nie od tego. No tak — uderzywszy się w piersi, przepadam się ja za zabawą, za dobrem towarzystwem, lubię nawet ładne twarzyczki....

Tu dodał ciszej:

— Ktoś pani rewizorowej musiał wypaplać, bo to istotnie na Lesznie w jednym magazynie... tego...

— *Na Leśnem?* pierwsze słyszę.

Pan Edward zmieszał się niby jakoś.

— A! Ale to — ale doprawdy, przysięgam Bogu, słowo honoru, już mi się to wszystko przejadło. E, do dyjabła — radbym się ustatkować. Ksiądz wikary, godny z kościami człowiek, a uczony — o! on mi to zawsze powtarzał: — „ożeniłbyś się oto lepiej.“ Ale kto tam takiego półgłówka zechce? jak cię widzą, tak cię piszą. Chociaż doprawdy — niech mię dyjabli porwą — żebym tak znalazł panienkę dobrze wychowaną, z dobrej familii — ale cóż? ja tu stosunków żadnych nie mam. Gdyby to tak pani dobrodziejka raczyła wziąść mię w łaskawą opiekę, a cóś takiego mi wyszukała, osoba tak doświadczona — to jabym z zamkniętemi oczami poszedł do ołtarza. Ale co tu i gadać — ktoby tam nawet na takiego spojrzał! — (d. c. n.)

## Nietoperze.

### Komedyja w 4-ch aktach

Edwarda Lubowskiego.

Jestto raczej galeryja typów niż komedyja w zwykłem znaczeniu. Autor wyszydza tu złośliwość, plotkarstwo, wprowadzanie w błąd opinii publicznej i wyzyskiwanie jej przez ludzi, których słusznie „nietoperzami“ nazywa. Ptaki te lubią ciemności, lubią pół-spojrzenia, pół-giesta pół słówka: opowiadają sobie zwykle wszystko pod sekretem, nawet pod największem sekretem wieści szarpiące cudzą dobrą sławę i uczciwość.

W tem położeniu znajduje się niejaki pan Leon Granicki. Jestto inżynier człowiek zdolny, pracowity i uczciwy, a przytem pełen rozsądku, słowem: człowiek pod każdym względem wzorowy. Urodzony z biednych rodziców — syn prostego ślusarza, pracą żelazną i wytrwałością zdobył sobie wykształcenie. Skończył szkoły i uniwersytet w Lièges; poczem wrócił do kraju; ożenił się z córką prezesa, który jakkolwiek bolało go niskie pochodzenie Leona, przejednany miłością córki do młodzieńca, i przymiotami tegoż, nie wahał się powierzyć mu swej jedynaczki.

Leon żył więc zupełnie spokojny i szczęśliwy. Ale miał on jednak jedno bolesne wspomnienie w życiu. Oto kiedy był jeszcze na uniwersytecie, został zelżony czynnie przez jednego ze swoich kolegów. Matka tego kolegi ubłagała go, żeby przebaczył nieszczęśliwemu jej synowi, co też ten w końcu uczynił.

Tak więc Leon nie zapłacił krwią za obelgę jak wedle kodeksu honoru zapłacić był powinien. Tę to okoliczność podchwytują „Nietoperze.“

Nie wiedzą oni o powodach dla których Leon nie mścił się zniewagi, wiedzą tylko sam goły fakt i wyzyskują go na wszystkie sposoby. I dla czego to robią? Oto jeden z odrzuconych wielbicieli dawnej prezesówny a dzisiejszej żony Leona, pan Herkulan Zadrzycki, postanawia zemścić się nad nią za rekuzę. Puszcza więc bajkę. Puszcza ją w restauracyi gdzie schodzi się pewna koteryjka zawołanych plotkarzy. Więc naprzód wtajemniczony zostaje pan Marek Babulewicz, dla którego plotki, są tem, czem powietrze dla płuc, słuchać plotek i opowiadać je innym—oto całe jego zajęcie, a jak się zdaje i cały sposób utrzymania. Pan Babulewicz opowiada wieść państwu Krupczyckim, radcy Cierpniewskiemu i państwu Żmijskim—ci innym znajomym; inni znajomi jeszcze innym, ci nakoniec całemu miastu i oto sława ludzka raz podana na języki ludzkie, cierpi srodze i upada najniesłuszniej coraz niżej i niżej.

Wieści dochodzą wreszcie i do rodziny Leona. Pan Babulewicz i pan Żerowicz opowiadają ją Prezesowi, zmuszeni do tego przez wuja prezesowego groźnego majora; pani Żmijska, bogata wietrznica i emancypantka, lituje się niby nad żoną Leona „przez przyjaźń“ wtajemnicza i ją w to co mówią o jej mężu po mieście. Ludzie zaczynają się zwolna odsuwać i od oskarżonego i od jego rodziny; nawet pan Nestorowicz, ów barometr (jak sobie pochlebia) opinii publicznej, owa powaga w rzeczach uczciwości— i gastronomii, ów dobroczyńca ludzkości, który w gruncie rzeczy kosztem jej żył, a nic dla niej nie zrobił,— nawet ten niepospolity w swoim rodzaju mąż postanawia zerwać z Prezesem. W ten sposób dotychczasowe szczęście Leona zamącone, a spokój rodziny zakłócony, albowiem w łonie jej samej między prezesem a Leonem, poczynają się nieporozumienia, które tem łatwiej wytłumaczyć, ile że sam fakt zelżenia jest prawdziwy.

Leon długo znosi cierpliwie ludzką gadaninę. Nie jest on zwolennikiem teoryi pojedynków, owszem, zasady jego są raczej wprost przeciwne. Ale gdy zawiść ludzka posuwa się aż do drukowania paszkwilów, rozumie, że nie ma innego środka okiełznania ludzkich języków i nakazania szacunku dla swego imienia.

Wówczas gniazdo Nietoperzów ogarnia popłoch nie do opisania. Na wszystko liczyli, ale nie na to. Są to wierutni tchórze. Pan Marek Babulewicz i pan Julijan Żerowicz trzęsą się ze strachu. A tu przychodzi wieść, że pan Herkulan Zadrzyczki raniony. Co tu robić? Jedyna rada: udać się do Prezesa i winszować i chwalić i wysławiać— i wypierać się wiary w plotki, i udawać, że się w niczem nie miało udziału i t. p. U tego poczciwego Prezesa, od którego poczęli się już ludzie usuwać, zbierają się teraz wszyscy, a w szczególności wszyscy nietoperze i sztuka się kończy.

Jak widzimy kochanka i kochanki— nagromadzenia trudności, intryg, a wreszcie zakończenia wszystkiego małżeństwem zakochanej pary nie ma tu wcale. Jestto raczej jak już wspomnieliśmy galeryja typów, i w nich to cała wartość komedyi, rzecz bowiem sama zbyt mało ma interesu i nikogo zająćby nie mogła. Czy o panu Leonie Granickim mówią źle czy dobrze, to widzom wszystko jedno, i nudziliby się też niezawodnie, gdyby właśnie nie typy, w swoim rodzaju wyborne. Z tem wszystkiem Babulewicz zwykły plotkarz z babską naturą, długiem językiem i zajęczem sercem; pan Julijan Żerowicz, pseudo-muzyk, tchórz niemniej od poprzedzającego a kłamca i fanfaron, są to figury, jakkolwiek kreślone zręcznie, ale jeszcze dość pospolite. Największą jednak okazał autor zręczność, a raczej największą bystrość i dar spostrzegawczy w kreśleniu takich postaci jak p. Żmijski i Nestorowicz. Rysunek tu daleko mniej pospolity a więcej oryginalny. Pan Żmijski, pozornie nie różni się niczem od tysiąca ludzi na świecie, nie robi nic choć wielekroć razy miał zamiar coś robić, ale jest bogaty, bo żyje z kapitału swojej żony. Czego od niego chciał autor— on taki jak wielu. Ach! w tem też i rzecz, że on taki jak wielu! wielu na świecie jest próżniaków, wielu żyjących z kapitału swojej żony, otóż autor chwycił jednego z takich wielu za poły i ukazał go ze strony śmiesznej, ukazał z ironiją, ukazał w świetle satyry. Obraz to skończony. Co on robi? Nic! Więc z nudów robi plotki, bałamuci opiniją publiczną. Tak! tak! W społeczeństwie poszukującym twardych mężów pracy i czynu czemże jest taki gagatek?—Zerem i to szkodliwem zerem.

Nie lepszy i Nestorowicz. Z pozoru to szlachetny mąż regulator opinii publicznej; powaga danej koteryi, wyrocznia. W rzeczywistości zaś jestto hipokryta i obżartuch. Jakiś bankier oszukiwał ludzi więc okrzyczeli go za łotra, ale Nestorowicz ujął się za nim, bo bankier miał milijony i skazy na swoim honorze mógł ponitować złotem. Ale gdy rzucono kalumniją na rodzinę Prezesa, Nestorowicz, choć przed chwilą oświadczył prezesowi przyjaźń, gotów był pierwszy odsunąć się od niego, i to znów pod pozorem cnoty. Jakże on—mąż tak nieskalany mógł żyć z temi których oskarżają publicznie.

I tu obraz subtelny, a kreślony z tą werwą i śmiałością, która zaszczyt przynosi autorowi. Z przyjemnością widzimy, że talent tego pisarza na dobrej znajduje się drodze, i coraz obfitsze poczyna przynosić owoce. Ostatnie jego utwory o wiele stoją wyżej od poprzednich, brak im jeszcze wiele, ale mamy nadzieję, że przyszłość i praca i te braki usunąć zdołają.

Nakoniec słówko o grze artystów. Grano Nietoperzy wybornie, koncertowo niemal. Żółkowski w roli Nestorowicza, Ostrowski jako Babulewicz wprawiali w podziw publiczność. Wogóle wszystkie role sprawiały jaknajprzyjemniejsze wrażenie, prócz jednej, która jakkolwiek grana w swoim rodzaju przewybornie, obrażała jednak moralność publiczną, nakazującą szanować osoby, i smak estetyczny który każe szanować sztukę. „Mądrej głowie dość dwie słowie“ mawiali starzy polacy.

*X.*

---

# ZARYSY

## Gubernij północno-i południowo zachodnich.

Skreślił
Jan ze Śliwina.

(Ciąg dalszy).

### II.

### Ogólne zarysy.

Podług uczonych badań ostatnich, D-ra Jana Karłowicza, mówiący językiem litewskim zamieszkują dziś czworobok, który jedną ścianą opiera się o morze Baltyckie, a po rogach ma miasta *Lipawę*, (Liebau) *Dynaburg*, *Grodno*, *Labiawę* (Labiau). Dokładniej mówiąc, granica języka litewskiego taki ma przebieg, prowadząc ją miastami i miasteczkami, pomijając drobniejsze załomy i szachownice: począwszy od morza: Labiawa, Instruć (Insterburg), Gombin, Przerośl, Sejny, Sopockinie, Hoża, Berszty, Żyrmuny, Oszmiana, Michaliszki, Swir, Postawy, Brasław, Druja, skąd granica gub. Kurlandzkiej do Połągi nad Baltykiem. Przestrzeń ta obejmuje powiaty: w prusiech Piłkański, Stołupiański, Tylżycki, Ragnecki, Nizinę. (Nehrung) Kłajpedzki (Memel) Heideskruski; w Królestwie Polskiem: Maryjampolski, Kalwaryjski, Sejneński; we właściwej Litwie: Kowieński, Rosieński, Telszewski, Szawelski, Poniewieżski, Wiłkomierski, Nowo-aleksandrowski (Upicki) Trocki, część Wileńskiego, Święciańskiego, Oszmiańskiego, Lidzkiego i Grodzieńskiego: nadto w niewielkiej ilości Sporadyanie w Rzeczyckim (około 400 głów), w Augustowskim (97 głów). Wilejskim, Nowogródzkim, Słonimskim oraz we wschodnim kątku Kurlandyi, a podobno pozostała jeszcze garstka mówiących po litewsku i w Wołkowyskim.

Tak więc Litwini prawdziwi mieszkają: we wschodnich Prusiech, gdzie ostatnia ich osada Norkiten, o 7 mil od Królestwa,—we właściwej Litwie w gub. Wileńskiej, Kowieńskiej i Grodzieńskiej i w Królestwie Polskiem w gub. Suwalskiej.

Ludność Litwy podług najnowszych obliczeń wynosiła: w Prusiech 139450; w Król. Polskiem 264,180; we właściwej Litwie przeszło półtora milijona. Ogół więc wynosi dwa milijony z górą.

Inny szczep litewski, Łotysze, używający już nieco odmiennej mowy, mieszkają w Inflantach, t. j. powiatach dyneborskim, lucyńskim i rzeczyckim gub: Witebskiej, w Liwonii i Kuronii, t. j. gub. Kurladzkiej i Liflandzkiej. Ludność tych ostatnich wynosi przeszło milijon.

Niemamy żadnych dowodów, ażeby szczep litewski nawet w dalekiej przeszłości zajmował większą przestrzeń, owszem, śród nich od dawien dawna siedlili się już sławianie, a jednakże widzieliśmy, że ta garstka w stosunku do Słowian zdołała zapanować nad milijonami Rusinów. Lecz były to nie podboje raczej związek ścisły, braterski, który niezważając na różność języka i wyznanie, łączył ich ze sobą i pozwolił pobić wspólnych nieprzyjaciół Mongołów i Krzyżaków.

Jak Litwa i Łotysze w odległej przeszłości jedność stanowić musiały, tak samo i Ruś była jedna. Z biegiem zaś wieków i wypadków dziejowych, Ruś rozpadła się na kilka części, różniących się dziś mową, chociaż pierwiastek tej mowy, jak również zwyczaje i cechy narodowe, przechowały się i do dziś dnia te same z małemi tylko odcieniami.

Mamy za tem dziś Wielko-Rusinów, Biało-Rusinów, Mało-Rusinów. Czerwono-Rusinów Czarno-Rusinów. Wielko Rossyją stanowią gubernije wewnętrzne. Ludność ich wynosi przeszło 40 milijonów*) Białorusinów dziś liczą 4 milijony, małorusinów 13 milijonów w państwie rossyjskiem i około 3 milijonów w państwie austryjackiem (a mianowicie w Galicyi w Węgrzech i na Bukowinie). Galicyjscy Rusini noszą nazwanie Czerwono-Rusinów: nakoniec garstka Czorwonorusinów istnieje jeszcze w gubernijach wileńskiej i grodzieńskiej.

Wracamy do założenia naszego, t. j. do 9 gubernij Zachodnich.

Obszerny ten kraj, zajmujący przeszło 9 tysięcy kwadratowych mil geograficznych. na którego krańcach na północy miasto Ostrów gub. pskowskiej, na południe Bessarabija i miasta Bałta i Dubosary, na zachodzie Karpaty, a na wschodzie Smoleńsk i Rosławl, za pomocą rzek i trzech kanałów, łączy Baltyk z Morzem Czarnem, obfity w lasy, szczególnie w gub. Grodzieńskiej, Wileńskiej i na Polesiu, a których przestrzeń zawiera z górą 2,000 mil kwadratowych, bogaty w płody ziemne, a jeszcze bogatszy w pamiątki historyczne i etnograficzne, które dla całej słowiańszczyzny dostarczają obfitych materyjałów dla wyjaśnienia życia praojców.

Widzimy tu obfitość wielką rzek i potoków a nadto obfitość niezmierną stawów i jezior. Rzeki i potoki krzyżując się ze sobą i przeżynając jedna drugą w rozmaitych kierunkach na całej przestrzeni kraju, tworzą wyborną drogę komunikacyjną i handlową.

Do najważniejszych rzek na Litwie i Rusi należą: Niemen, Zachodnia Dźwina, Wilija, Prypeć, Berezyna, Dniestr, Boh, Dniepr, i wiele innych pomniejszych.

Ażeby dać wyobrażenie o obfitości wód, powiemy, że do Dniestru wpływają 73 mniejsze rzeki i potoki a razem te wszystkie, wraz z Dniestrem wprowadzają wody z 898 główniejszych stawów i jezior. Boh przyjmuje rzek i innych mniejszych dopływów 133, stawów zaś i jezior wprowadzają razem 1,615. Dniepr z Prypecią i Berezyną 296 rzek i potoków, a razem ze swojemi dopływami wprowadzają 1,704 stawów i jezior.

Na przestrzeni Pojeziorza Baltyckiego, między Wisłą a Niemnem, leży 868 jezior, między Niemnem, Dźwiną i wierzchowiną Dniepru 1,093 jeziora, na całej zaś przestrzeni pojeziorza Baltyckiego przeszło 3,000 jezior. W kotlinie Pińskiej, między Jasiołdą, Szczarą Piną. Prypecią, Wieprzem, 240 dużych jezior,

*) Właściwą Wielko Rossyją stanowią gubernije Moskiewska, Twerska, Pskowska, Włodzimierska, Nowogrodzka, Kazańska, Tulska i Kałuska *w zupełności*; oraz *cząstkowo* gubernije: Petersburska, Ołoniecka, Wołogodzka, Wiacka, Niżgorodzka Tambowska, Woroneska, Kurska, Orłowska, Smoleńska.

Wymieńmy tu jeszcze kanały które łączą Baltyk, z Czarnem morzem. Pierwszy z nich przeryty między Prypecią i Bohem, drugi, zwany kanałem Ogińskiego między Prypecią i Niemnem i nakoniec trzeci Berezyński, między Berezyną i Dźwiną Zachodnią.

Niektóre jeziora, szczególnie w Pińszczyznie, w Trockim powiecie, są bardzo obszerne. Tak naprz. jezioro *Narocz* ma obwodu 12 mil.

W dziesięciu Zachodnich gubernijach, liczą dziś 9 miast gubernijalnych, 82 miast powiatowych, 1,050 pomniejszych miast i 71,253 wiejskich osad, tak że w stosunku do przestrzeni wypada w przecięciu na każde półtory mili jedna osada, na każdą zaś osadę, również w przecięciu wypadnie 153 głowy. Na każdą guberniją w przecięciu wypada 134 miasta i miasteczka:

Na 1 milę kwadratową przypada:—W Podolskiej gubernii 329 głów, w innych zaś przecięciowo 196.

## III.

## Gubernija Wileńska.

Przed rozbiorem Polski, prowincyje litewsko-rusińskie dzieliły się na 14 województw: Wileńskie, Trockie, Księstwo Żmudzkie, Połockie Nowogródzkie, Witebskie, Brzeskie, Litewskie, Mścisławskie, Mińskie, Inflanckie, Kijowskie, Podolskie, Wołyńskie i Bracławskie. Podług obecnego podziału na tej przestrzeni mamy 9 gubernij: Wileńską, Grodzieńską, Kowieńską, Mińską, Mohylowską, Witebską, Kijowską, Wołyńską i Podolską.

Z dzisiejszej gubernii Wileńskiej do składu dawnego województwa wileńskiego, wchodziły zaledwo trzy dzisiejsze powiaty: wileński, oszmiański i lidzki. Inne ześ powiaty województwa wileńskiego, jako to: wiłkomierski dziś wszedł do składu gubernii Kowieńskiej, a bracławski do Witebskiej.

Trocki powiat z przyległościami stanowił osobne Województwo. Litwini zamieszkują w powiatach Wileńskim, Trockim, Święcińskim w południowiej części lidzkiego i oszmiańskiego. W tym samym lidzkim powiecie mieszkają czarno rusini, a na północ Deynowcy. Jeszcze za Olgierda istniało osobne księstwo Dejnowskie, którego stolicą było Deynowo, o 1½ mili od Lidy odległe. Północne powiaty dzisiejszej gub. Wileńskiej, — Wilejski i Dzisnieński odeszły do Rossyi po drugim podziale i należały dawniej do gubernii Mińskiej przed tem zaś należały do księstw mińskiego i połockiego, zaludnione szczepem białoruskim.

Podział obecny nastąpił zaledwo w r. 1842; przedtem zaś, a mianowicie zaraz po 3 rozbiorze w r. 1795 z województw wileńskiego, trockiego i księstwa żmudzkiego utworzone zostały dwie tylko gubernije: *Wileńska i Słonimska* w rok później, t. j. w 1796—te dwie gubernije utworzyły jedną; *Litewską*; w r. 1801 gubernije te znowu podzielono na dwie, na Litewsko-Wileńską i Litewsko-Grodzieńską. Wtedy do gubernii Wileńskiej należała cała Żmudź. Taki podział trwał aż do r. 1839. W tym zaś roku Trocki powiat skasowano, przyłączając go w części do Kowieńskiego i w części do Wileńskiego. W r. 1840 gubernije te otrzymały nazwanie Wileńskiej i Grodzieńskiej (bez dodania litewskich) a w r. 1843 utworzono nową guberniję — Kowieńską, do składu której weszła cała Żmudź, Wileńska zaś powstała z dwóch powiatów od gubernii Mińskiej oddzielonych: Wilejskiego i Dziśnieńskiego i od gubernii Grodzieńskiej; Lidzkiego. Z dawniejszych powiatów pozostały tylko Wileński, Oszmiański i Swieńciański, a nadto dołączono do nich nowo otworzony powiat Trocki

Ogólna ludność gubernii wynosi koło 900,000 głów. A ponieważ przestrzeń gubernii zawiera 764 kwadratowe mile (37,461 kw. wiorst), czyli 3,795,994 dziesięcin, wypada zatem, że przecięciowo na każdej mili kwadratowej mieszka 1,150 głów.

Ludność ta mieszka w gubernijalnem mieście Wilnie, 6 powiatowych: Trokach, Oszmianach, Wilejce, Dziśnie, Swieńcianach i Lidzie, 2 nadetatowych: Drui i Radoszkowiczach 184 miasteczkach i 12,503 wsiach i zaściankach.

Pod względem plemienności i wyznania mamy tu: *Litwinów* koło 400,000 katolików i 30,000 prawosławnych; *Polaków* 155,000 prawie wszyscy wyznania kotolickiego, *Wielkorossyjan* 15,000 z tych 12000 starowierców, którzy tu jeszcze za czasów Piotra Wielkiego przesiedlili się i 3,000 prawosławnych; *Białorusów, Krywiczan, Czarnorusów*, i *Deynowców* około 200,000; *Tatarów* przesiedlonych przez Witolda z Krymu w r. 1395, koło 3,000 mahometańskiego wyznania; *Karaimów* także przez Witolda w r. 1,398 z Krymu przesiedlonych około 600; nakoniec żydów około 90000.

Rzecz godna uwagi, że Tatarzy chociaż zachowali typ wschodni i są wyznawcami Mahometa, zupełnie zapomnieli po tatarsku i nie tylko mówią, ale i modlą się po polsku.

Jak Alkoran tak i inne obrzędowe i religijne książki przetłumaczono na polski język. Na pogrzebach, jak również w dni uroczyste świąteczne jeden Mulla używa języka tatarskiego, wszyscy zaś inni modlą się po polsku. Tatarzy odznaczali się zawsze przywiązaniem do Litwy, zawsze byli przychylni rządowi, jak dawniej litewskiemu i polskiemu, tak dziś rossyjskiemu; ale przez wszystkie czasy znani byli jako ludzie nieposzlakowanej prawości. Każdy prawie z nich służył wojskowo i przeważnie w ułanach; niektórzy dosłużyli się wysokich stopni w hierarchii wojskowej:

Główne ich osady w samem Wilnie na przedmieściu Łukiszkach, gdzie mają swój meczet, oraz w okolicach Wilna, w Niemieży, Sorok-Tatarach i kilku innych miejscach. Część ich osiadła jeszcze za Witolda w Nowogródku i jego okolicach. Wszyscy tatarzy na mocy przywilejów wielkich książąt litewskich używają praw szlacheckich, które potwierdzone zostały przez Katarzynę II i jej następców.

Inaczej rzecz się dzieje z karaimami. Ci, chociaż również umieją po polsku, niezapomnieli jednak mowy tatarskiej której używają w życiu rodzinnem, w nabożeństwie zaś języka hebrajskiego. Główna siedziba ich w Trokach, gdzie na zasadzie przywilejów W. książąt litewskich, królów polskich i cesarzów rosyjskich, żydom nie wolno było mieszkać. Dopiero za panowania cesarza Mi-

kołaja żydzi uzyskali prawo mieszkania w Trokach. Nienawiść między żydami i karaimami nieubłagana. Karaimi oprócz Trok mieszkają także w powiecie Poniewieżskim gub. Kowieńskiej i w okolicach Łucka, jedni i drudzy jako osadnicy jeszcze z czasu Witolda. Główna zaś ich siedziba dotąd w Krymie, gdzie istnieje i zarząd ich duchowny, na całą Rossyją.

Karaimi osiedlili się w Krymie jako wychodźcy z Palestyny jeszcze przed zburzeniem Jerozolimy. Po upływie długiego czasu wysłali oni swoich posłów do ojczyzny, lecz ci wrócili z wiadomością o zaprowadzeniu przez żydów reform religijnych i obrzędowych i o wprowadzeniu talmudu. Wtedy karaimi uznali ich za odszczepieńców, nieprzyjęli talmudu i do dziś dnia zachowują wiarę Mojżesza w czystości pierwotnego kościoła, synagogi ich urządzone za wzór dawnego jerozolimskiego kościoła, z okazałemi ołtarzami, w których dziesięcioro przykazań umieszczają, kapłani zaś, czyli tak zwani hatzani. mają strój właściwy, w rodzaju naszych ornatów i czapki wysokie w rodzaju *kłobuków* wschodnich, na tych ich szatach, na plecach, oraz na czapce wyszyte allegoryczne cyfry Salomona. Nabożeństwo ich, zwykle przez trzech kapłanów odprawiane przed ołtarzem, niepozbawione pewnej powagi i uroczystości. Spowiedź powszechna po stosownej modlitwie, którą dopełniają jednocześnie padając na ziemię i w cichości przypominając swe grzechy, jest aktem niezbędnym podczas nabożeństwa każdej soboty, poczem następuje uroczyste błogosławieństwo kapłana; poprzedza zaś spowiedź, przygotowawcze kazanie hatzana.

Nie było przykładu w Trokach ażeby karaim siedział w więzieniu za przestępstwa kryminalne, lub za złodziejstwo. Poczciwość ich jest znaną. Ale są bardzo leniwi i opieszali, a przez to biedni. Rzemiosł i handlu nie znają prawie, trudnią się zaś przeważnie ogrodnictwem, rybołostwem, niektórzy tylko rolę uprawiają.

Są nakoniec w gub. Wileńskiej i cyganie, którzy przyszli w te strony koło roku 1417, skąd mianowicie, niewiadomo, jak niewiadoma i liczba dzisiejsza tych koczowników.

Trzy główne rzeki z wielu dopływami przerzynają guberniję, a mianowicie *Niemen* odgraniczający ją od innych na południo-zachodzie, *Dźwina zachodnia* na północo-wschodzie i *Wilija* przerzynająca guberniję niemal przez sam środek na przestrzeni 43 mil, Niemen zaś przebiega 57 mil, a Dźwina zaledwo mil 12. Ta ostatnia oddziela ją od gub. Witebskiej, tak samo jak Niemen od Królestwa Polskiego i od gub. Grodzieńskiej. Gdy zwyczajna szerokość Niemna wynosi zaledwie od $17\frac{1}{2}$—38 metrów, w czasie wylewu wód szerokość stanowi milę i ćwierć. Największa szerokość Wilii 70 metrów. Z innych rzek zasługują na wzmiankę: Rotnica, Kotra, Ussa, Sułła, Dzitwa, Gawija, Waka, Żejmiana, Stracz, Szyrwinta, Wilejka i inne. Brzegi niemal wszystkich rzek są nadzwyczaj piękne. Płynąc śród gór i pagórków, najczęściej okrytych lasem, lub śród gajów dębowych zdobią okolicę którą i tak natura dziwnie uroczo przyozdobiła.

*d. c. n.*

---

# ZA WOJENNYM ŚLADEM

## POWIEŚĆ
### ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH
KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

**Leokadyi P....**

(Ciąg dalszy.)

Widziałem z resztą, że wtej chwili chodziło więcej o pośpiech jak o liczbę. Jeżeli centkowany *mustang* był tak silnym jak szybkim, jego pan i ja będziemy zawsze na przedzie i sami rozstrzygniemy sprawę.

Znałem wszystkie konie w moim oddziale i wiedziałem że żaden z nich z moim równać się nie może, a po chwili i to już wiedziałem że należy mi *mustanga*, jak najbardziej zmordować.

We dwie minuty minąłem już domy i na otwartem polu goniłem jeźdzca w jaskrawym płaszczu.

Starał się widocznie skręcić za wioską, żeby kontynować swoję podróż tak gwałtownie przerwaną.

Gonitwa ta miała miejsce na błotnistem polu. Koń mój grzęznął w tym kruchym gruncie podczas gdy lżejszy *mustang* przesuwał się jak zając. Miał nademną przewagę i zaczynałem się już o siebie obawiać, gdy na raz zobaczyłem że bieg jego był powstrzymany.

Rośliny dosyć wysokie, rosnące szeregami tak, że duże ich liście kolczaste splatały się ze sobą, stanęły mu na przeszkodzie.

Na pierwszy rzut oka przeszkoda ta zdawała się nieprzebytą tak dla konia jak i dla człowieka i zmusiła meksykanina do zatrzymania się i zastanowienia. Widocznie chciał zobaczyć gdzie się to kończy, ale zobaczywszy że biorę linię ukośną i mogę mu zastąpić drogę, ściągnął znowu uzdę obejrzał się, stanął naprzeciwko przeszkody, spiął konia i skoczył w sam środek cierniska. W jednej chwili jeździec i koń zniknęli mi z oczu.

Podbiegłem w to miejsce i usłyszałem jak szeleściały liście pod kopytami *mustanga*.

Nie było czasu do namysłu, trzeba było albo puścić się tą samą drogą albo zaniechać pogoni. Na to ostatnie nie pozwalał mój honor i honor mojego rumaka, który rwał się niecierpliwie. Bez namysłu więc wjechałem w krzaki, a chociaż i nie bez szwanku wydobyłem się z zarośli, spostrzegłem z radością że lepiej użyłem czasu jak przeciwnik którego goniłem.

Ale znowu trzeba było przebywać drugie trzęsawisko i znowu musiałem zwolnić po tej niekorzystnej drodze do jazdy.

Kiedy byliśmy już przy końcu pola, zobaczyłem coś błyszczącego z daleka, był to rów napełniony wodą, wykopany w celu osuszenia gruntu i znów mieliśmy przeciętą drogę.

To go już niezawodnie zatrzyma pomyślałem sobie, musi koniecznie skręcić na prawo albo na lewo a w tedy... Ale manewer zupełnie przeciwny omylił moje przewidywania. Zamiast skręcić w prawo lub w lewo, meksykanin skierował konia prosto na kanał, a szlachetne zwierzę przesadziło go skokiem olbrzymim.

Nie było co tracić czasu na podziwianie takiego czynu trzeba go było naśladować koniecznie. Puściłem się wytężonym galopem, mój dzielny rumak nie potrzebował być podbudzanym ostrogą ani spicrutą, widział swojego przeciwnika przesadzającego rów, wiedział o co chodzi. Za jednym rozpędem znalazł się po drugiéj stronie rowu, szerokość którego wynosiła kilka stóp. Chcąc raz już tę rzecz skończyć, puściłem się co sił.

Przed nami rozciągała się sucha płaszczyzna a kopyta pędzących koni odzywały się teraz na twardym gruncie. Pogoń zależała od ogromnej szybkości, starałem się więc dosięgnąć *mustanga*, zanim dobiegnie do końca stepu, kiedy znowu ukazała się inna przeszkoda.

Duże stada bydła i koni zalegały całą rozległość łąki... Zwierzęta te obudzone raptownie odgłosem naszej jazdy powstawały, a kręcąc głowami zaczęły latać wystraszone, na wszystkie strony.

Kilka razy musiałem dobrze ściągać cugle żeby sobie nie rozbić głowy albo nie zabić konia o jakiego bawoła albo wołu, które się wolno włóczyły po stepie, a często nawet zjeżdżać im musiałem z drogi...

W tym gwałtownym pędzie widziałem z żalem że przewaga była po stronie mustanga, który musiał być do tego przyzwyczajonym i przez cały czas jechania pomiędzy bydłem, ciągle mnie wyprzedzał.

Nakoniec minęliśmy stada ale znaleźliśmy się na końcu płaszczyzny. Tu rzuciwszy okiem zobaczyłem tuż przed sobą lasek z wysokich drzew wznoszących się po nad krzakami, po nad którym ukazywał się pagórek uwieńczony białemi murami.

Była to hacienda o któréj wspominałem, zmierzaliśmy do niej prosto.

Zaczynałem się niepokoić o rezultat mojej pogoni. Jeżeli mój jeździec dotrze do krzaków, bardzo prawdopodobnie że będzie dla mnie straconym.

Nie śmiałem zaprzestać gonitwy. Cóż by powiedzieli moi ludzie widząc mnie powracającego samego?...

Nie kazałem szyldwachowi strzelać i puściłem może szpiega a może jaką ważną osobę..

Sądząc po rozpaczliwych sposobach umknięcia można było przypuszczać i jedno i drugie. Koniecznie trzeba było go złapać.

Podniecony temi uwagami pędziłem jak jeszcze nigdy a mój Moro zdawał się odgadywać moje myśli i wyciągał się z całéj siły. Nie było już przed nami żadnych przeszkód a wyższość jego biegu skróciła wkrótce przestrzeń oddzielającą mnie od jeźdzca. Jeszcze dziesięć sekund a cel będzie osiągnięty.

Dziesięć sekund upłynęło, byłem już na odległość strzału—dobyłem pistolet.

Stój albo strzelę zawołałem głośno...

Żadnej odpowiedzi—*mustang* pędzi daléj.

Stój! zawołałem powtórnie bo nie chciałem bez potrzeby pozbawiać życia swojego bliźniege. Stój albo cię zabiję.

Znowu głuche milczenie.

Sześć stóp zaledwie oddzielało mnie od Meksykanina, lecąc prosto za nim mogłem mu posłać kulę w plecy. Jakiś instynkt powstrzymał mnie, chociaż nie mogłem zdać sobie sprawy z tego uczucia. Było to jakby uwiel-

bienie, jakaś nieokreślona myśl błysnęła mi po głowie- Palec trzymałem na cynglu a nie mogłem go pociągnąć.

Nie powinien jednakże wymknąć mi się — jest już tuż koło drzew, nie mogę mu pozwolić dostać się w krzaki — trzeba przynajmniej ranić konia.

Szukałem miejsca na strzał, że jednak koń był do mnie zwrócony grzbietem, nie wiele mogłem mu zrobić.

Ale właśnie skręcił w przeciwną stronę. Manewr ten miał za cel przeszkodzenie pogoni a posłużył mi jak najlepiej, bo koń obrócił się do mnie bokiem czego właśnie sobie życzyłem, dałem ognia a kula przeszyła bok biednego zwierzęcia. Postąpił jeszcze parę kroków ale było to już ostatnie jego wysilenie, bo zaraz razem z jeźdźcem runęli na ziemię.

W mgnieniu oka jeździec wydobył się z pod konia szamocącego się jeszcze ostatnich sił wysiłkiem i stanął przy mnie spokojnie.

Bojąc się żeby nie zechciał schronić się w krzaki albo nie czynił oporu, spiąłem konia ostrogami a lufę pistoletu wymierzyłem prosto w głowę. Ale mój przeciwnik nie myślał w cale o tem, przeciwnie z rękami założonemi na krzyż stanął naprzeciw wymierzonej broni a patrząc mi śmiało w twarz, z najzimniejszą krwią odezwał się:

Nie zabijaj mnie przyjacielu, bo jestem kobietą....

## ROZDZIAŁ IV.

### Branka.

Nie zdziwiło mnie bardzo to wyznanie byłem nań nawet trochę przygotowanym. Podczas tej szalonej gonitwy dostrzegłem pewne okoliczności które mi nasunęły podejrzenie, że szpieg ścigany był istotnie kobietą.

Kiedy mustang przesadził przez rów, płaszcz uniosł się trochę i dojrzałem stanik aksamitny powiewającą tiunikę i przecudną figurkę. Wszystko to zastanowiło mnie bardzo, wszystko wydało mi się szczególnem u jeźdźca jakkolwiek młodego i bogatego, bo takim mi się wydawał.

Nie mogłem widzieć nóg na które spadało okrycie z koziej skóry, ale dostrzegłem ostrogę złotą, przymocowaną do obcasa zgrabniutkiego bucika. Zauważyłem także dwa grube warkocze włosów które rozpięte z powodu gwałtowności ruchów, opadły aż na grzbiet konia.

Młody indyjanin mógł mieć także długie warkocze ale byłyby czarne; grube włosy zaś które miałem przed oczami, były cienkie jedwabniste.

Ani sposób siedzenia na koniu ani płaszcz ani prosty kapelusz, nie sprzeciwiały się domysłowi że jeźdźcem była kobieta. Taki sposób i taki kostyjum ogólnie przyjętym jest przez meksykanki. W chwili wreszcie kiedy mustang zrobił swój ostatni zwrot, ujrzałem dosyć blisko profil mojego przeciwnika i nie było nigdy mężczyzny ani pasterza trojańskiego ani Adonisa ani Endymijona, któregoby rysy były tak piękne i tak delikatne.

Tak to z pewnością musiała być kobieta.

Byłem zdziwiony jednakże tonem i sposobem w jaki zrobiła mi wyznanie. Zamiast wyrażać się z obawą amazonka, mówiła tak spokojnie jakby to wszystko było tylko zabawką. Nie prośba przebijała się w jéj słowach ale smutek, którego wyraz powiększył się znacznie kiedy klęknąwszy na ziemi przyłożyła usta do głowy konia, oddychającego jeszcze i zawołała po hiszpańsku:

O! ja nieszczęśliwa, moja biedna klaczka nie żyje, nie żyje.

Kobieta... przemówiłem udając zdziwienie.

Nie zwróciła uwagi na to zapytanie ani podniosła nawet oczów.

Biednaś ty moja kochana klaczko, biedna moja Lolo.

Lolita—powtórzyła nie zważając na nic jak gdyby śmierć klaczy zajmowała ją wyłącznie a ja morderca, uzbrojony jeszcze, jakbym się o jakie piędziesiąt mil stąd znajdował.

Tak kobieta... powtórzyłem z pewnem zakłopataniem, nie wiedząc bardzo co mówić i co począć ze swoją osobą.

Tak panie i nic więcéj—czegoż pan odemnie żądasz.

Mówiąc to podniosła się i zaczęła mi się przypatrywać bez najmniejszéj obawy.

Było to dla mnie coś tak niespodzianego, że w żaden sposób nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

Jesteś pan wesoły ale mnie nabiłeś zmartwienia zabijając mi faworytkę.

Nie umiałbym opisać wejrzenia jakie towarzyszyło tym słowom—żal, złość, pogarda, wyzwanie, wszystko to przebijało się w niem wyraźnie.

*Senorita* powiedziałem, żałuję mocno tego co się stało, ale nie mogę taić że coś gorszego jeszcze przytrafić się mogło...

Cóż takiego naprzykład łaskawy panie, zapytało śliczne stworzenie.

Mogłem skierować pistolet na panią samę ale dzięki podejrzeniu...

*Caramba!* zawołała przerywając mi znowu, nie mogło się stać nic gorszego. Lubiłam bardzo Lolitę, chodziło mi o nią jak o życie, byłam do niéj przywiązaną jak do własnego ojca. Moja biedna kochana klaczka. I pełna boleści pochyliła się, objęła ją za szyję, przyłożyła usta do nozdrzy faworytki, a zamknąwszy jéj starannie oczy wyprostowała się, skrzyżowała ręce i przypatrywała się tym nieruchomym szczątkom z wyrazem głębokiéj boleści. Nie wiedziałem co mi czynić wypada, piękna niewolnica narobiła mi kłopotu nielada, oddałbym żołd miesięczny żeby przywrócić Lolitę do życia ale że to nie było możliwe, biłem się z myślami w jaki by sposób wynagrodzić jéj stratę.

Przyszła mi uwaga która mogła wybawić mnie z kłopotu. Wiedziałem że bogaci Meksykanie starali się chętnie o nasze duże Amerykańskie konie, że płacili za nie często bajeczne summy—mieliśmy w oddziale dużo koni dobrej rasy, przypuszczałem zatem że jeden z nich, nie będzie darem do odrzucenia nawet dla młodej kobiety która utraciła swoję faworytę.

Zrobiłem moję propozycyję z największą delikatnością, ale ze wzgardą odrzucona została.

Jakto Senor krzyknęła tupnąwszy nóżką tak silnie że aż zabrzęczała ostroga — jakto, konia chcesz mi pan ofiarować. Patrz pan mówiła dalej, wskazując na stepy—te tysiące koni jakie pan widzisz to wszystkie moje. Zrozumiejże pan wartość tego co mi chcesz ofiarować. Czyż ja potrzebuję konia?

Ależ Senorita wyszeptałem niezrozumiale żeby się wytłomaczyć, te konie są krajowe a ten którego ci chcę ofiarować...

Ba—przerwała mi wskazując na swą martwą faworytę — tego jednego konia nie oddałabym była za wszystkie konie waszego oddziału. Żaden go nie wart.

Gdyby słowa te do mnie odnosiły się tylko, nie byłbym zaprzeczył Senoricie ale drasnęła moję słabą stronę to też z miną urażoną odpowiedziałem.

Ani jeden Senorito i mówiąc to, spojrzałem na mego Moro. Spojrzenie to zauważyła Senorita i milcząc, skierowała wzrok swój na mojego wiernego towarzysza.

Śledziłem to spojrzenie i dostrzegłem w niem uwielbienie na widok zgrabnych kształtów mojego rumaka....

Przepysznym bo był w téj chwili — zadyszany spieniony, kawały białej piany na piersiach podnosiły jeszcze czarność jego maści, robił bokami, para buchała z czerwonych jak krew nozdrzy, oczy miał jak ogień a szyję trzymał dumnie wygiętą, jakby czuł że jest w téj chwili przedmiotem obserwacyi i podziwu.

Amazonka przypatrywała mu się długo a choć nie rzekła ani słowa, wiedziałem że oceniła wartość zwierzęcia. Masz racyją *Caballero* powiedziała nakoniec z miną zamyśloną — ten wart tamtego.

Zacząłem żałować żem nań zwrócił uwagę pięknej Senority. Ofiarowałem jej tylko jednego konia z mojego oddziału a Mora nie oddałbym za całe stado jéj mustangów.

Czułem jednak, że nie potrafię odmówić téj młodéj dziewczynie. Odkąd się z nią spotkałem, Moro nie był już jedynym przedmiotem mojéj miłości.

Położenie było drażliwe, na szczęście nowy wypadek przerwał moje zakłopatanie.

Towarzysze którzy podążali za mną, właśnie teraz przybyli.

Meksykanka na ich widok okazała pewną obawę, i nie było się czemu dziwić spojrzawszy na te dzikie ubrania i straszne miny. Rozkazałem im powrócić na swoje kwatery. Popatrzyli na konia leżącego na ziemi, na bogaty rząd poplamiony krwią, później na tę co na nim jeździła raz ostatni—zamienili kilka słów i oddalili się.

Pozostałem sam z moją Branką.

## ROZDZIAŁ V.

### Isolina de Vargas.

Jak tylko moi ludzie oddalili się o tyle że nie mogli nas dosłyszeć, branka odezwała się do mnie.

Czy jesteście Tekseńczykowie?..

Tak ale nie wszyscy.

Pan jesteś ich dowódcą?..

Tak Senorito.

Kapitanem o ile mi się zdaje?..

Tak jest Senorito.

A więc Senor kapitanie, czy zabierasz mnie do niewoli?...

Nie byłem przygotowany na podobne pytania, ta pogoń, to spotkanie, czarująca piękność mojej branki, wszystko to sprawiło, że jak to

mówią, zapomniałem języka w gębie, nie byłem w stanie nic powiedzieć.

Wkrótce przypomniałem sobie jednak, że mam do spełnienia powinność nader delikatnej natury.

Czyżby ta prześliczna istota mogła być szpiegiem?

Jednak podobne przypuszczenie nie było nieprawdopodobnem...

Widziano nie raz powtarzałem sobie młode kobiety, opatrzone w depesze przeznaczone dla obozu nieprzyjacielskiego. Jeżeli i tu ma miejsce podobny wypadek a ja ją puszczę swobodnie, następstwa mogą być bardzo niemiłe. Czułem że prawem mojem odprowadzić jeńca gdzie należy. Ledwie dziesięć minut spędziłem w towarzystwie młodéj kobiety a już, panowała ona w mojem sercu, jakby w niem rządzić miała całe życie.

Spostrzegła że się waham i powtórzyła pytanie.

— Czy jestem branką waszą?...

Obawiam się odpowiedziałem, abym nie został niewolnikiem pani.

Zrobiłem to oświadczenie raz by uniknąć odpowiedzi wprost, i także by dać folgę uczuciu co już na dobre mną owładnęło.

Nie było w postąpieniu mojem żadnej galanteryi dziecinnéj, chociaż natchnione przez gorące uczucie; słowa moje zachowały pewną stanowczość i szorstkość, to też z obawą oczekiwałem na wywołane wrażenie.

Jéj wielkie błyszczące oczy skierowały się na mnie z razu z pewnem odcieniem zakłopotania ale później pomału, z wielką dla siebie radością dostrzegłem coś innego w tych uroczych źrenicach. Meksykanka zdawało się, porzuciła na chwilę swoję obojętność i spojrzała się na mnie uważniéj. Widziałem w spojrzeniu jakie na mnie rzuciła że cieszyło ją to, co jéj powiedziałem.

Z tem wszystkiem błąkający się uśmieszek na około jéj ust, miał minę wyzywającego tryjumfu jakoż z właściwą jéj wyniosłością, odpowiedziała.

At i komplement w miejsce odpowiedzi. Czy mogę sobie odejść swobodnie?...

Wahałem się między obowiązkiem a grzecznością—gdy w tém nowy mi pomysł przyszedł do głowy.

Pani rzekłem, prostując się i przybierając najobojętniejszą na jaką mogłem się zdobyć postawę, jeżeli dasz mi słowo że nie jesteś, proszę przebaczyć wyraz, szpiegiem, możesz pani iść gdzie ci się podoba. Nie pragnę więcéj jak słowa pani.

Wygłosiłem to postanowienie w sposób prośby raczej niż żądania dowódcy, a chociaż udawałem stanowczość czułem, że fizyjonomija moja kłam mi zadaje.

Mój jeniec wybuchnął śmiechem.

Ja szpieg... szpieg—Panie kapitanie, wyraźnie żartujesz sobie.

Spodziewam się że pani mówisz to szczerze— Zatem pani nie masz przy sobie depesz przeznaczonych dla nieprzyjaciela?

Nic podobnego panie kapitanie.

I śmiała się ciągle...

Ale wreszcie dla czego pani starałaś się nam wymknąć?..

A panie, czyż nie jesteś Tekseńczykiem? Nie obrażaj się gdy ci powiem, że wasi ludzie nie są zbyt lubiani przez nas meksykanów.

Chęć zemknięcia przed nami była co najmniej nierozsądną. Pani ryzykowałaś życie.

Carramba! to prawda, zaczynam to spostrzegać.

I rzuciła wymowne spojrzenie na mustanga podczas gdy gorzki uśmiech, przesunął się po różowych usteczkach.

Widzę to ale nie sądziłam żeby znalazł się ktoś w waszej kompanii, któryby mnie dogonić potrafił. Pan mnie zwyciężyłeś i pan jeden tylko byłeś to w stanie uczynić.

Gdy wymawiała te słowa jej wielkie oczy znowu się na mnie zwróciły. Zmierzyła mnie od stóp do głowy, od wojskowej czapki aż do ostróg. Śledziłem jej spojrzenie wzrokiem przeszywającym. Zdawało mi się, że wyraz jej twarzy stracił pierwotną złosliwość i że w nim teraz czułość błysnęła,

Oddałbym świat cały aby jej myśli odgadnąć.

Oczy nasze spotkały się i odwróciły od siebie z pewnem zakłopataniem. Ona opuściła główkę i wlepiła oczy w ziemię jakby ją nowa jakaś myśl opanowała.

Oboje zachowaliśmy przez chwilę głębokie milczenie któreby mogło przeciągnąć się dłużej, gdyby nie wspomnienie że za mało okazuję galantaryi.

Młoda kobieta była ciągle moją niewolnicą, pospieszyłem ofiarować jej wolność bezwzględną.

Szpieg czy nie—ja cię nie zatrzymam Senorito—jesteś wolną.

Dziękuję panu a ponieważ znalazłeś się jak na rycerza przystoi, chcę Cię uspokoić zupełnie— masz i czytaj.

To mówiąc okazała mi list żelazny naczelnego dowódcy, nakazujący uszanowanie dla donny Isoliny de Vargas.

Widzisz teraz kapitanie że w obec tego nie jestem twoją branką.

Pani, pani jesteś zbyt szlachetną aby mi nie przebaczyć gwałtowności na jaką narażoną zostałaś.

Przebaczam, najchętniej przebaczam ci kapitanie.

Dla czego postąpiłaś pani tak nierozważnie? Ścigać cię i schwytać było naszą powinnością. Z tym listem nie potrzebowałaś pani uciekać.

To prawda, ale właśnie ten list żelazny skłonił mnie do ucieczki.

List żelazny?.. objaśnij mi to pani jeżeli łaska.

Czy mogę liczyć na waszę dyskrecyją kapitanie?

Bądź pani spokojną.

Wiedz że pan, że nie byłam pewną czy jesteście amerykanie—mogliście być gerylasami krajowcami i cóż by było jeżeli by ten papier i inne które noszę przy sobie dostały się w ręce niegodziwców?.. Widzisz kapitanie, my się więcej wystrzegamy swych przyjaciół niż obawiamy naszych wrogów.

Pojąłem doskonale przyczynę jej ucieczki.

Pan wybornie mówisz po hiszpańsku kapitanie—gdybyś był zawołał „stój” w swoim ojczystym języku, byłabym zatrzymała się w tej chwili, i może ocaliła moję biedną faworytę.

Biedna moja Lola—i znowu owładnęła ją tkliwość a padając na kolana, objęła rączkami swoję klacz, już zimną i sztywną zupełnie. Ukryła twarz w długą i gęstą grzywę zwierzęcia a gdy go okrywała pieszczotami, dostrzegłem łzy w jej oczach.

Biedna moja Lolo, mam się czem martwić miałam powody kochać się bardzo — ileż to razy tyś mnie ocaliła—cóż pocznę teraz, zadrżę na najmniejszy szelest, który mi zwiastuje dzikich, nie ośmielę się już pobujać po stepach, trzeba będzie pozostać w domu—moja kochanko tyś mi dodawała skrzydeł a teraz leżysz bez życia.

Wszystko to wypowiedziała głosem boleści pełnym a ja—ja który miałem równe przywiązanie do swojego dzielnego rumaka, zrozumiałem tę tkliwość. Z pewną nadzieją przyniesienia ulgi ślicznej zrozpaczonej, powtórzyłem poprzednią moję propozycyją.

Pani powiedziałem, mam dzielne konie w oddziale a niektóre tak pięknej rasy że...

Pan nie masz pojęcia o moim guście.

Sądzę że pani wszystkich nie widziała.

Wszystkie co do jednego, dziś, gdyś pan defilował wychodząc z miasta.

Czy tak?

Tak panie kapitanie, widziałam cię w chwili gdyś z hardo wzniesioną głową wyjeżdżał na czele twojej dziwnej kompanii-

Ja pani nie widziałem wcale.

To nie jest bynajmniej winą pańskich oczu, nie było balkonu, nie było kraty, po za którą nie przesłałbyś spojrzenia, nie było jednego uśmiechu na całej długości ulicy który byś pozostawił bez odwetu. Obawiam się kapitanie czy nie jesteś don żuanem z północy.

Pani to nie...

Daj pokój jesteś próżnym jak wszyscy ludzie. Ale zobaczymy.

Co się tyczy konia, wiedz że pan, że z całego oddziału jeden mi się tylko podoba...

Zadrżałem gdy to powiedziała.

To właśnie ten, rzekła wskazując na Moro.

Zaambarasowałem się i potrzebowałem chwili czasu na odpowiedź.

Dostrzegła moje wahanie, ale nie odezwała się czekając co też odpowiem.

Mówiłem bełkocąc:

Pani—ten koń to stary doświadczony przyjaciel. Jeżeli jednak pragniesz go posiadać jest on... jest on... do usług pani.

Wymawiając z przyciskiem owe, *jeżeli jednak*, liczyłem na jej wspaniałomyślność, na próżno niestety.

Dziękuję panu rzekła chłodno. Będzie mu u mnie dobrze. Nie wątpię że nie zdradzi mojego zaufania. Jaki też jest w pysku?..

Nie miałem siły odpowiedzieć. Poczułem wstręt nawet jakiś, do młodej kobiety.

Pozwól mi pan sprobować powiedziała—ha! ha! masz wędzidło z łańcuszkiem to wystarczy; ale nie warte ono naszego, pomóż mi pan zdjąć tamto, mówiła wskazując na arkan z włosia białego przepysznie pleciony i zwinięty przy siodle mustanga.

Wziąłem się machinalnie do odwiązania sznura i w ten sam sposób przymocowałem go do kuli mojego siodła, spostrzegłem wówczas że ten arkan ma kółko srebrne na końcu i skróciłem go na odpowiednią długość.

Teraz kapitanie zawołała chwytając cugle w swoje małe rączki. teraz chcę sprobować, jak nosi twój Moro.

To mówiąc, wskoczyła na siodło a małe jej nóżki zaledwie dotykały strzemion. Odrzuciła płaszcz, jedwabna spódniczka udrapowała się spadając do nóg samych, z pod spodu ukazywały się od niechcenia małe trzewiczki pąsowe, błyszczące ostrogi i marszczone białe jak śnieg hafty. Kibić opasana szkarłatnym pasem od którego kwasty i frędzle opadały na siodło a gorset suto haftowany, dodawał uroku cudnym kształtom młodej kobiety, która wcale nie zdawała się być wzruszoną.

*d. c. n.*

---

## KORESPONDENCYJE „Opiekuna Domowego"

*Lwów dnia 1 Stycznia 1875 r.*

(Ciąg dalszy.)

Towarzystwo ochotnicze straży ogniowej we Lwowie, wysyła swych członków na prowincyją na każde wezwanie dla poinformowania, zachęty i przekonania obywateli mniejszych miasteczek o potrzebie takich instytucyj; ono urządza wieczory, koncerty czasem, odczyty na dochód straży, które nie dość zawiązać; ale należy zaopatrzeć w niezbędne narzędzia ratunkowe od pożaru. Nieraz bowiem zdarzało się, że była w mieścinie jakiejś sikawka, ale dziurawa, ale brakło wiader do czerpania a beczek do wożenia wody. Najgorliwszym, najruchliwszym krzewicielem myśli zawiązywania stowarzyszeń straży ogniowych, jest bezwątpienia we Lwowie p. Henryk Rewakowicz, redaktor *Dziennika Polskiego* Sam członkiem straży lwowskiej będąc, nietylko słowem ale i czynem przyświeca: rozsyła statuty, radzi, obmyśla fundusze na początek. Jak na Galicyją, to w bardzo krótkim przeciągu czasu zorganizowano dotychczas straże ogniowe w miastach następujących: Lwów i Kraków, dalej najlepiej już po tych dwu miastach spełniające swe zadanie straże w Kołomyi—istnieją one: w Bieczu, Wieliczce, Żywcu, Myślenicach, Oświęcimie, Wadowicach, Bochni, Nowym Sączu, Tarnowie, Mielcu, Sędziszowie, Pilźnie, Jaśle, Rzeszowie Jarosławiu, Przemyślu, Samborze, Drohobyczu, Stryju; Jaworowie, Bóbrcę, Gródku, Kulikowie (pogorzałym w r. z. po dwakroć), w Mostach, Kamionce, Brodach, Brzeżanach, Rohatynie, Podhajcach, Skałacie, Tarnopolu, Sokalu, Kałuszu, Śniatynie, Chrzanowie; Zakliczynie, Brzezku, Okocimie, Mościskach, Dolinie i w Horodence.

To jedna ze stron dodatnich, ale co prawda, nie jest zasługą ogółu i w tem sęk. Bo przecież nowoczesne społeczeństwo zmierza do tego, by miało o ile możności najliczniejszy zastęp członków pełnomocnych, to jest myślących samodzielnie o swych potrzebach. Tu z samej natury systemu wypływa ten przymus radzenia o sobie, a jednak trudno o to. Ambicyje wyrywające się naprzód mają na oku interes osobisty, a zmuszeni do brania udziału w pracy publicznej—niezdarni, bo przenoszą gnuśność umysłową nad pracę, jakkolwiek może przytrudną, ale będącą do pokonania- Jedyną tu bowiem wskazówką, zbadanie najbliższych potrzeb.

Lwów sam ma pozory i pretensyje miasta wielkiego, ale brak mu dotkliwy wygód takiego miasta. Pod względem wygody mieszkań zaliczyć się chyba może do pierwszego lepszego partykularza, z tą różnicą, że tam mieszkania tańsze a tu przesolone. A za to mamy ściany brudne i przepełnione plugastwem, w zimie dym w pokojach, piece stare i walące się, kuchnie angielskie na których trudno co ugotować, kurytarze nie oświetlone wieczorem, drzwi od mieszkań popękane; szyby i ramy u okien nieodnowione, przez które wiatr dmucha i śnieg pruszy. O reparacyi zaś panowie gospodarze ani mówić sobie nie dadzą. Przybyło nowych domów i przybędzie ich jeszcze w roku przyszłym, ale w tych niedokupić się mieszkania. 360, 400 zł. r. żądają za dwa skromne pokoiki z kuchenką, a za pięć, sześć pokoi. to i do półtora tysiąca, a każdyby rad zamieszkać w nowym domu, gdyż ciągłe restauracyje własnym kosztem, przejadły się najzamożnjejszym lokatorom. Cóż z tego, że przybywa z każdem latem kilka i kilkanaście nawet kamienic nowych, kiedy każdy właściciel chciałby włożony kapitał odbić w ciągu lat kilku, nieuwzględniając bynajmniej, iż władze skarbowe uwolniły go od podatku na lat dwanaście, jeżeli budynek z fundamentów nowy. I na rok przyszły wydał urząd municypalny 106 upoważnień do budowania różnej objętości domów, z wiosną tedy rozpoczną się roboty, lecz to nie wywoła konkurencyi. Tu zupełnie inaczej. tu nie starają się przedsiębiercy pozyskać odbiorców współzawodnictwem, ale nie dopuszczają innych. którzyby mogli wleźć w drogę. — Możnaby to poniekąd usprawiedliwić, gdyby zmowa wymierzoną była przeciwko samym tylko odbiorcom, ale tu idzie głównie o to, ażeby niedopuścić współzawodnika w handlu, w wybudowaniu domu, w wielu innych rzeczach. Prawnie wolno niby każdemu gdy opłaci należytość za konsens budować, sprzedawać, zakładać warsztat, ale w istocie?—To inne pytanie. Od czegóż bracia, szwagrowie, swaty, kumy, teściowie zasiadają w radzie municypalnej? Oto dla tego tam siedzą, by niebezpiecznemu współzawodnikowi odmówić pozwolenia, założyć weto w biurze budowniczem miejskiem, w innem biurze zakazać wydania pozwolenia na założenie warsztatu. A choćby przeszła uchwała w Radzie miejskiej, poparta głosami bezstronniejszemi, choćby dom powstał, warsztat założono, to od czegóż języki złe? Puszcza się język między ludzi, śle żądło jedno za drugiem, oczernia, oplwa, wystawia na sekatury przez kuzynków dzierżących urząd, wreszcie jeżeli i to nie pomaga, odciąga się wszelkiemi sposobami robotników i—na swoim postawia. Konkurencyja zabita, małoduszność tryumfuje a wielość cierpi, sobkostwo zadowolnione. Nie szuka się chwały wtem, by lepiej doskonalej wyrobić, nie szuka się zysku na zdrowej podstawie ekonomicznej ale w tem, by moje choć niepotem najęto, kupiono, bo lepszego nie ma.

Takie rzeczy nie dla dobra mieszkańców są.

Najświeższy fakt oto: jemy mięso złe i drogie i nie ma na to rady tymczasem. Ale dało się to we znaki załodze wojskowej i władze jej pomyślały o zmianie na lepsze. Udano się z projektem do rzeźników lwowskich, by za dobre pieniądze odstąpili kilka sztuk żywych wołów. Horrendum! rwetes powstał i oburzenie, ani słyszeć nie chcieli. Rada w radę udano się do dostawców, daremnie jednak, bo panowie rzeźnicy zagrozili liwerantom, że jeżeli poważą się sprzedać choćby jednę sztukę załodze wojskowej, to kontrakt złamany i niech sobie wywożą, bydło swoje dokąd zechcą. Notabene daleko nie powiozą, gdyż Lwów konsumować musi mięso z pośledniejszych gatunków, Wiedeń tego nie weźmie, a dla prowincyi i to za drogie. Przyszło więc do tego, iż sprawa oparła się aż o Ministerstwo i Radę państwa. Tam dopiero wezwał Minister kilku delegatów z Galicyi, którzy posyłają z dóbr swoich opasowe woły do Wiednia, by z każdego większego transportu odliczali dla załogi wojskowej we Lwowie sztuk kilkanaście. Może skorzysta z tego i publiczność szersza, może projektowane stowarzyszenie konsumcyjne znajdzie drogę ułatwienia, jeżeli, co daj Boże, przyjdzie do skutku.

Gdzież, na czem zbudowana, spytacie, wobec stosunków podobnych nadzieja lepszej przyszłości?

Jest ona, kwitnie, ale w owoc dojrzewa powoli, gdyż złe nie usuwa się nagle tam zwłaszcza, gdzie dużo kąkolu, zacofania, a mało skorych do pracy. Złożona ona w towarzystwach takich, jak stowarzyszenie rękodzielników lwowskich „Gwiazda," którego członkowie kształcą się, oszczędzają, bawią nawet ale po cichu, rozumnie; w powstających towarzystwach zaliczkowych; w powoływanych do życia instytucyjach, jak muzeum przemysłowe, szkoła leśnictwa, szkoła weterynarzy a w końcu w bladym wprawdzie, ale przecież promyku budzącego się ruchu umysłowego. Upatrujmy ją również w niewielkiem, ale przynajmniej dziś już stanowczo zdecydowanem kółku młodzieży, która garnie się do nauki. Do pilniejszych zaliczyć można wszystkich członków „Czytelni akademickiej," założonej staraniem uczniów uniwersytetu w r. 1867. Mamy właśnie przed sobą sprawozdanie wydziału czytelni akad. z którego dowiadujemy się że w r. 1874, liczyła członków 206 (w tej liczbie oraz i uczniów politechniki), w biblijotece tomów dzieł 4752, czasopism 64, wieczorków zaś naukowo-literackich było 26, a fundusz pozostały w kasie po strąceniu, wydatków wynosi 3126 złr. 28 ct.

Instytucyje tego rodzaju są oraz i z tego względu dobre, że ludzie młodzi zebrać się mają gdzie, pomówić o przedmiotach naukowych, o życiu, które tu dość monotonne w skutek dziwnej apatyi towarzyskiej. Dom z domem, rodzina z rodziną nie stykają się, nie schodzą choć się znają, choć spotkawszy się, witają na pozór uprzejmie. Jeżeli nie bal, nie zabawa jakaś zapowiedziana, nie uroczystość rodzinna, to i nie ma powszednich a serdecznych, poufałych odwiedzin, chyba znowu interes. Zasklepieni, zagrzebani jak krety po norach siedzimy, czytamy jak najmniej, myślimy mniej jeszcze, stękamy! Otóż znalazłem wyraz charakteryzujący część niepoślednią społeczeństwa lwowskiego. Stękamy, albo — uciekamy do knajpy, tam ucieczka wielu, by nie widzieć kwasów domowych, ale tam podąża również wielu zamiast na posiedzenie, gdy są członkami jakiego stowarzyszenia. Obowiązki pła-

tne spełnia się od biedy, honorowe jednak, obywatelskie, jakby nie istniały, jakby pokolenie wczorajsze nic nie zdziałało dla dzisiejszego, że wszelkie zadania, całą pracę dla tych co jutro wejdą na drogę czynu, pozostawia się na los Opatrzności. Czemu to przypisać, gdzie szukać zarodka złego? Niepodobna powtarzać za hipokrytami lwowskiemi, że przyczyną złego, to *zbrodniczy pozytywizm*, to *ohydny materyjalizm*, nie —bo ani pierwsze ani drugie choćby opacznie pojęte, nie każe rąk opuszczać. Ale licho to ma poczęści swe źródło, w opłakanych stosunkach ekonomicznych, w niedostatku cisnącym pojedyńcze rodziny i społeczeństwo. Z drugiej strony trudno nie przyznać, żeby nie było wysiłków nadludzkich niemal: jest wielu obarczonych pracą od świtu do północka, ale owoce tego wysilenia są bezwzględnie, niemiłosiernie eksploatowane. Gdzieindziej, ludzie przezywani tu zimnemi, materyjalistami, mają jednak oczy otwarte na pracę wytrwałą, na zasługę—tu przeciwnie, zamyka się oczy na to uśmiechając się w kułak. Uznanie, nawet bez wynagrodzenia, zwrócenie uwagi, mogłoby obudzić pretensyje, niechże nas Bóg zachowa od tego.

*d. c. u.*

*Wiedeń 28 Grudniu 1874 r.*

(Dokończenie).

O zdolnościach i tendencyi p. Sacher Masocha zdanie może być różne, i z pewnością nie wszyscy zgodzą się tu na jedno. Pisząc po niemiecku i pisząc bardzo wiele, p. S. M. wybierał sobie, treść z obrazków ludu galicyjskiego. i spostrzeżenia jego były pod wielu względami trafne, a zatem i wywody byłyby się stały słuszne, gdyby autor pisząc rzecz o ludzie słowiańskim, nie myślał wciąż po niemiecku. Ale podszywając wszystko pod rozum niemiecki, wychodząc z fałszywych i a priori powziętych teoryj, posługując się u niemców przyjętemi komunałami o rzeczach słowiańskich, a nie zbadawszy dokładnie kraju o którym pisze, dochodzi do najdziwaczniejszych a często potwornych wywodów. Tam gdzie autor maluje ludowe sceny, jest do najwyższego stopnia zajmujacym i często porywa czytelnika, gdyż ma niezrównany talent spostrzegania, chwytania najdrobniejszych zarysów i oddawania ich wiernie. Ale niestety, jest tylko fotografem, ale nie malarzem. Gdy idzie o sklejenie w jednę całość tych pojedynczych obrazków, zaraz przychodzą w pomoc owe z góry powzięte teoryje; gdy idzie o zbadanie przyczyn, posługuje się owymi komunałami; a gdzie tylko zdanie samego autora wynurza się z powieści, wytyka natychmiast ucho świętej pamięci mandataryjusz lub starosta cyrkułowy z meternichowskiej epoki, płaczący gorzkie żale nad tem, iż wszystko przestało dziać się w słowiańskim kraju na niemieckie kopyto. P. Sacher Masoch spóźnia się z resztą o 3 kwandranse czasu w tendencyi swych powieści. Przed laty dwudziestu było modą w całej Europie wystawiać niższe warstwy społeczeństwa w jakiejś idealnej promienistej koronie cnoty, wyższe zaś jako stowarzyszenie wrogów społecznych. Było w tej dążności więcej sentymentu i komedyjanckiego usposobienia aniżeli prawdziwej miłości dla ludu i szczerego pragnienia poprawienia jego doli, pomimo to obiegła ona całą Europę, jako ostatnie tchnienie obumierającego Byronizmu, i nawarzyła nie mało piwa, sprawiła ciężkie i niepowetowane klęski. Dziś epoka ta przeszła niepowrotnie, a duch realistyczny nowy, ma przynajmniej tyle dobrego w sobie, iż wymiata wszelkie takie objawy chorobliwego sentymentalizmu. Dziś wie każdy iż w warstwach wyższych jest stosunkowo daleko więcej zalet i dobrego, aniżeli w niższych, nie dla tego iżby pierwsze były z natury samej lepsze, lecz ponieważ są oświeceńsze, a zbrodnia i występek idą najczęściej w parze z ciemnotą i towarzyszącą jéj nieuchronnie nędzą.

P. Sacher Masocha nie popełnia wprawdzie tego błędu, iżby idealizował wszystko w ludzie, przeciwnie przedstawia takowy niby prawdziwie, wyświeca wszystkie jego złe skłonności, przywary i zbrodnie, lecz przyczynę tego upadku widzi tam, gdzie jej tylko częściowo szukać należy; według stanu dzisiejszego osądza ubiegłe epoki, i zapomina o tem, że główna tu wina spada na ową kulturę niemiecką, która przez lat sto nic nie sprawiła oprócz strasznego zubożenia kraju...

P. Sacher Masocha niechętnie dotyka klas oświeceńszych, a gdy to czyni —czyni z zupełną nieznajomością prawdy, z uprzedzeniem niemieckiego urzędnika, widzi złe a więc przypisuje takowe wyłącznie tej klasie którą nienawidzi. Nie mówi tego otwarcie, ale tym mniej więcej przebija z dążności większej części jego powieści.

Niewartoby rozpisywać się tak szeroko o autorze i jego dziełach, gdyby nie to, iż autor znając tylko Galicyją, i to tylko głównie jednę jej okolice, opisując tamtejsze ludowe sceny, wciąż mówi o ludności polskiej.

Na to należy niezbędnie położyć kategoryczne veto. Galicyja jest to sobie prowincyja sui generis która wyrobiła sobie własne całkiem odrębne społeczeństwo, w którym żywioł żydowski panem położenia, i któby chciał z warunków wyłącznie galicyjskich wywodzić zdania o innych prowincyjach gdzie ludność polska przeważa,— postąpiłby jak profesor któryby wykładał z talmudu filozofiję Dr. Kanta.

Dziś P. Sacher Masoch rozpoczął zawód historycznego pisarza, i jak się z tego wywiązuje, w wychodzącym teraz a jeszcze nie dokończonym obrazku „akademii smorgońskiéj" nie trudno odgadnąć. Czcze rozumowania zastępują znajomość przedmiotu, a naciągane i związku z sobą nie mające obrazki historyczną prawdę. Gdy szewc kieruje się na szewca, uczy się naprzód szyć buty, gdy ktoś chce robić drogę, uczy się naprzód zasad i elementarnej inżynieryi, tylko w powieściopisarstwie wie każdy wszystko z intuicyi, wolno mu pisać per fas et nefas widziadła wyobraźni, tak jak mu na dorywkę i według własnego przywidzenia pojawiły się w myśli, i jak dopełnił to czego nie wiedział, swym podmiotowem zdaniem. Gdyby p. S. M. był tylko kilka pamiętników z owej epoki z uwagą przeczytał, nie byłby z pewnością nagromadził tyle dziwacznych zdań ile ich stoi w jego akademii „smorgońskiej". Ale duch germański pisząc o innych narodach nie potrzebuje badać ich przeszłości, on sam wie lepiej wszystko, on z góry o wszystkim nieomylnie sądzi,—i płodzi w rezultacie bezecny non-sens.

Sąd ten ostry o muzie P. Sadoch Masocha odzywającej się po niemiecku o rzeczach słowiańskich, i sądzącej po niemiecku o rzeczach których nie rozumie, był poczęści potrzebnym, aby nie przypisywać zbytniej wartości dziełom które na to bynajmniej nie zasługują, i aby się opinija ogółu nie bałamuciła, co do tego pseudo-polskiego autora, o którym ci tylko mogli wydać sąd bezwzględnie pochlebny, którzy ogółu jego dzieł, dokładnie nie znali. Sąd ten może być zresztą nader obojętnym dla P. Sadoch Masocha, gdyż go pociesza wyborna opinija i pochlebne zdanie o nim p. Achard, tego znakomitego autora, wsławionego na przedpokojach cesarzowej Eugenii, —który dziś jeszcze tak strasznie bije Prusaków,—językiem. Aby dobrze przedstawiać charakterystykę jakiego kraju, nie dość jest poznać dokładnie jednę społeczną warstwę i mieć dar spostrzegania i odfotografowania tych spostrzeżeń. Trzeba znać i przeszłość tego kraju i wszystkie warunki jego istnienia, inaczej obraz będzie zawsze jednostronnym i niedokładnym, albowiem nic na świecie nie stoi w odosobnieniu. Aby dojść do tego trzeba naprzód sumiennej pracy i nauki. Przypuszcza się zaś w autorze tylko niedokładną znajomość przedmiotu i historycznych nauk, — nie zaś złą wiarę, co by było o wiele jeszcze gorzej...

## Z pod Myszej Wieży

*w Styczniu 1875 r.*

Rzeczywiście w trudnem jestem położeniu chcąc pisać o życiu wewnętrznem naszego kącika i opowiedzieć Wam.. jak tu u nas żyją.

Trudności wzmagają się jeszcze bardziej, gdyż chociaż zaledwie kilka mil przedziela nas od granicy — ciążymy w inną stronę i wszystkie nasze stosunki na odmienną zupełnie grają nutę jak w Warszawie. Zacząwszy od samej góry, cechą charakterystyczną arystokracyi naszej jest iż, (odłożywszy na bok małe przywary) robi co może dla dobra *ogółu*. To zaleta ogromna tem bardziej iż przywyczailiśmy się zawsze uważać stojących najwyżej za istoty bezmyślne, idące bez celu przez życie i nie robiące nic w ogóle. O tyle więc o ile w cichych wiejskich stosunkach mogłem to ocenić, tak zwani *panowie*, siedząc po większej części w Poznaniu należą do masytowarzystw banków etc. Coś zawsze robią... Nie idzie zaraz za tem aby ich osobisty majątek nie cierpiał na tem. Słabość do *zagranicznego*, czasem nawet do Niemców (aby nie do swoich) sprawia, iż robimy ich administratorami naszych majątków i wychodzimy na tem jak najgorzej. Nie idzie bowiem znów za tem, iż kiedy niemiec, to gospodarz i oszczędny. Setki bym postawił przykładów że Teutonów potomki też grzeszyć niezaradnością potrafią. Wracając więc do *panów*, nieznających się specyjalnie na gospodarstwie pozwolą się naturalnie wyprowadzać w pole mądrzejszym.

Ale wszystko to niknie w obec tego że coś robią, że pracują. Może to i z tego powodu że żywioł Słowiański, będący tu już dziś na łasce garnie się bardziej do siebie. Spaja się aby ostatecznie nie runąć w gruzy, pod cisnącym go zewsząd germanizmem. Liczebnie większi

jeśli nie czem innem, samą masą zagrażają nam niepomiernie. Pomimo iż z wielkich wad staro-szlacheckich dotąd nasi panowie zupełnie wyrosnąć nie mogli, wady te jednak w części, przez wpływ obcy zmodyfikowane zostały.

Znana jest całemu światu nasza chwiejność, łatwowierność przy niezbywającej nigdy ochocie naśladownictwa obcych. Jeżeliśmy dumni, nieprzystępni i t. d. znika to wszystko gdy nas ze słabej strony użyć potrafią. Niemcy te słabe strony zanadto dobrze poznali. Niktby nie przypuścił jak bardzo odmienił się też nasz charakter przez wpływ germanizmu. My nie czujemy tu tego przez dziesiątki lat zrosło się to z naszą naturą, język skaleczony, jednak i o tem nie wiemy, w tysiącach fraszek i drobnostek, czuć wpływ mocniejszego i rozumniejszego sąsiada.

Stan szlachecki po wsiach tutejszych odrębnie żyje od Królestwa— Przedewszystkiem jak w naszej okolicy, polskich właścicieli na palcach wyliczysz. Zdaje mi się iż mówiłem kiedyś o sposobach jakiemi szlachta tutejsza popozbywała się swych fortun. Wspominałem wtedy o pomocy rządu, który Niemcom kupującym, udzielał pożyczki na bajecznie dogodnych warunkach. Stało się tedy że dziś nasz powiat jest przepełniony niemcami. Z tego powodu jeżeli z jednej strony nie zasypiamy gruszek w popiele, tworząc rozmaite stowarzyszenia i zebrania, to z drugiej samą naturą rzeczy, z konieczności przymuszeni żyć z obcym żywiołem, nolens volens przesiąkamy nim powoli. Od wielu już lat istnieją w W. K. Poznańskiem Towarzystwa rolnicze powiatowe. Nie tu miejsce wyliczać je lub ich statuty, powiem tylko, że rolnicy każdego powiatu nie są opuszczeni i postawieni samopas swoim siłom a więcej swej głowie ale mają pewne źródła z których wiadomości dotyczące swego zajęcia poczerpnąć mogą. Chociaż to „Opiekun" nie pismo rolnicze, parę słów pozwólcie abym wyjaśnił stosunki właścicieli ziemskich u nas. Naturalnie w takiej gałęzi produkcyi jak rolnictwo, prywatna interwencyja prawie nic nie znaczy, potrzeba siły zbiorowej, gwarancyi praw, potrzeba władzy rządowej. Rząd opiekuje się niby nieruchomą własnością otwiera kredyt nieruchomy (hipoteczny) do wysokości czasem $^2/_3$ wartości całego majątku, oprócz tego nieograniczony kredyt wekslowy, w skutek czego ten co ma kawał ziemi, wydaje się zawsze trzy razy bogatszym niż jest rzeczywiście. Cóż się w rezultacie robi?... do czego przyszli obecnie gospodarze W Księztwa?.. Oto stali się pracownikami dla innych przedsiębiorców, oto żadnych zysków gospodarstwa im dziś nie przynoszą. Porachować tylko te kolosalne długi od których się płaci procenta, porachować ogromne podatki—nie dziw więc że ziemia dochodzi tu do cen bajecznych i to takich które nigdy należnego procentu nie przyniosą. Z dzierżawami ma się tak samo. Robi się więc tak, iż ten i ów utopi trochę swych pieniędzy i w parę lat z niczem wychodzi. Prowadzi to jeszcze i do tej opłakanej konsekwencyi, iż ludzie z małemi pieniędzmi (ci są najwięcej zdolni) do rolnictwa w W. Księstwie wziąść się nie mogą. Dziś do tego potrzeba sum bajecznych. Obciążenie majątków jest tak wielkie iż obywatele, płacą czasem podatek trzy razy od jednego produktu. Ciążenie też ku miastu jest coraz większe. Wolę powiada niejeden, aby na mnie pracowali i siedzieć będę w mieście, niż abym ja miał być w podobnie niewygodnej pozycyi. Jeżeli już więc nie gdzie dalej, każdy któremu ciężko, ciągnie do Poznania. Tam myśli odetchnąć i nowe rozpocząć życie. Może to tylko pobieżny szkic naprężonych stosunków W Księztwa!.

Nasi obywatele bogaci i niebogaci zaczęli się bawić w bankierów na wzór zagranicznych kapitalistów i zapłacili grubo za tę zabawkę. Jestto drugie złe toczące nasze własności ziemskie. Jeszcze jeden przykład. Prawo wekslowe z niesłychanie krótką procedurą, dozwalające szlachcica w parę dni ze wsi wyrzucić, na naszych stosunkach ogromne już znaki zostawiło. Widzimy z tego że stosunki wiejskie u nas nie są do pozazdroszczenia, wszystko wyciągnięte jak struna.

Naturalnie sam rząd massę wpakował w pochłaniającą wszystko ziemię, prywatni zrobili resztę i ślicznie to wygląda. *Kultura* ten magiczny wyraz 19 w. znajduje tu swoje zastosowanie, ale cóż z tego kiedy skrępowanie i nienormalność stosunków widne tu na każdym kroku. W ślad więc zatem idzie to, że doskonale i twardo musimy gospodarzyć aby końce powiązać, ale po za tem nic albo bardzo niewiele. Życie towarzyskie ustaje—przez co robim się oszczędni, zabiegliwi a nawet skąpi. Skąpstwo rodzi massę pobocznych mniejszych i większych grzechów o których nie wspominam. Gdy komu ciężko, zaraz interesowniejszy. Stosunki więc tego rodzaju o jakich tu czytamy, albo jakie do dziś dnia trafiają się jeszcze w Królestwie, nie goszczą zupełnie między nami. Kawaler bogaty lub ubogi, z wielką uwagą bywa w sąsiedztwach gdzie są panny na wydaniu.

Już to jeżeli gdzie to u nas w kochanem Inowrocławskiem o miłości i porozumieniu się serc nie ma mowy. Nasi kawalerowie powiadają z którymś powieściopisarzem, „iż miłość jest to urocza czarodziejska lampa, którą stawiamy na stole salonu; kunsztowne jej światło będzie stracone jeżeli nie będzie miało w salonie co oświecać, albo oświeci jaskrawo stare połamane rupiecie, świadki nędzy i ubóstwa." Do pewnego stopnia ci panowie są nawet wytłomaczeni, gdyż druga nasza połowa, osładzająca nam życie, tyle potrzebuje warunków aby być słodką naprawdę, że dobrze trzeba się namyśleć zanim kroki matrymonijalne przedsięwziąść można. Kto tu więc winien?.. prawdziwej miary tak trudno dopatrzeć.. Majątek ma swoje dobre strony ma i złe. Szlachectwo bowiem obowiązuje... a wielu jest takich którzy sobie z tych powodów nóż kładą na gardle aby tylko sprostać pozycyi do której sobie roszczą prawo. Im wyżej tem bardziej trzeba się rachować z tem co nas otacza i jak to będzie później. Gdybym zechciał z ogólniejszych trochę rzeczy przejść do powszedniego, codziennego życia na wsi, odnalazłbym tu tysiące szczegółów zupełnie odrębnych od Waszych, nie mówię już warszawskich, ale wiejskich. Np. nasze panie jako wzór pod względem mody, gustu, doskonałości wszelkich wyrobów galanteryi i sztuki stawiają Poznań.

O Warszawie choć od nas bardzo łatwo dostać się do niej, mało tu mówią—nie uznając w niej dużego miasta, noszącego na sobie wszystkie cechy stolicy. Ten i ów zajrzy tam po interesie i gdy co napotka nie podług wymustrowanych niemieckich przepisów, ucieka czem prędzej, zastawiając się tem że drożyzna wielka. To co powiedziałem o rzeczach dotyczących materyjalnych naszych potrzeb, odnosi się po części i do przedmiotów umysłu naszego. Pism peryjodycznych i książek wydawanych w Warszawie bardzo mało tu znajdziesz, a nie wiem czy wiecie nawet jak ubogo pod względem miejscowych pism, stoi nasza prowincyja, pisma illustrowanego żadnego. Tygodnik Wielkopolski znów za organ czysto naukowy uchodzić nie może. Tylko jeden „Dziennik Poznański" zasługuje na wzmiankę. Reszta albo kłóci się o drobnostki i drukuje najdziwaczniejsze artykuły, albo drukuje się dla *stanu średniego.*

Z wydawniczych firm, jeden Żupański zasługuje na uznanie i pewną reprezentuje powagę. Dziwnem więc jest że tak mało znachodzimy tu pism z Warszawy. Zastawiają się wszyscy tem że za drogie, poczęści mają i słuszność. Tutaj trzyma kilku jednę gazetę posyłają ją sobie jak relikwije, jeżeli jaki wyjątkowy człowiek płaci tylko połowę a grosz przed wydaniem ogląda. Nie, już ta ogólna oszczędność godną jest ze wszech miar uznania. Oszczędność ta w najobszerniejszem znaczeniu wiedzie np. za sobą wielką skromność i wstrzemięźliwość w jedzeniu i piciu. Jest to zaleta którą w całości przyjęliśmy od Niemców. To dużo kosztuje, tamto również—usuwamy więc powoli z naszegó stołu przedmioty łechcące podniebienie, ale w kieszeni grosz zostaje. Z piciem tak samo. Wyłączywszy Poznań który gromadzi w swoich murach co bogatsze, dalej jest styczną wojskowych i t. d. prowincyja nie oddaje się, z takiem zamiłowaniem jak gdzie indziej, ofiarom na cześć Bachusa. Wstrzemięźliwość wiedzie za sobą większą ochotę do pracy, życie systematyczniejsze. Mimo tych wszystkich dobrych stron jest tu u nas coś, co dla człowieka myślącego który nie samym chlebem żyje nie wystarcza, czujemy iż nam tu duszno, chcemy gdzieś wylecić, siadamy na bryczkę, jedziemy do sąsiada który nas wita z kwaśną miną, poziewający i zły jakiś... Czyżby rządność, oszczędność, miały zaraz wyłączać wszystkie cnoty wspólnego obywatelskiego życia, wiążące nas od tak dawna? czyżbyśmy zarazem i oszczędzać się i żyć jak się należy z ludźmi jednocześnie nie potrafili?.. Duży kontyngens ludności stanowią w naszych stronach szumnie tu nazywani inspektorowie i dyrektorowie gospodarzy. Właściciele niemcy są to po większej części jacyś baroni siedzący w Berlinie i obradujący nad prawem wojskowem lub o banicyi duchownych. Ci więc sami gospodarstwem się nie trudnią. Naturalnie wszyscy ci urzędnicy gospodarscy (których tu u nas więcej jak gdziekolwiek) stanowią odrębną klassę, żyjącą z sobą i wspomagającą się wzajem. Niedawno był nawet między niemi projekt urządzenia bezrobocia ale naturalnie jak wiele tego rodzaju projektów spełzł na niczem. Żądali koniecznie podwyższenia zasług jakie od właścicieli dostają.

Nawet między niemcami projekt ten upadł przez brak solidarności i odwagi.

Do tych urzędników dołączają się wszyscy niżsi oficyjaliści (włodarze, owczarze i t. d.) także przeważnie niemcy. Wyróżniają się oni od miejscowej ludności i nic wspólnego z nią nie mają. Dużo zwykle mówią o ich pruskim junkierstwie i niepochamowanej bucie. Nie przyznałbym tego w całości. Są oni jak potrzeba grzeczni, grzeczniejsi w wielu razach od nas a tak dziwnie manifestują grzeczność że mimowoli przychodzi na pamięć wiersz:

„Istny niemczyk sztuczka kusa"

Jeżeli mówiłem o zgermanizowaniu wsi, miasteczka w naszych kujawach są czysto nawskroś niemieckie. Proszę jednak je obaczyć. Czystość i porządek o jakiem tylko zamarzyć można, — plemię Izraela, ten gad toczący Wasze małe miasteczka, i zapełniający je brudem i wyziewami, tutaj ostrzyżone, ogolone, wymyte aż miło spojrzeć. Zlali oni się zupełnie z ludnością napływową i w całości do niej przystali... Dla tego też nie wiele co o nich powiedzieć możemy. Trudnią się także przeważnie, prawie nawet wyłącznie handlem, rzadko rzemiosłami, jeżdżą też po wsiach osobliwie gdzie właściciel polak, oszukują jak wszędzie, ale przynajmniej nie w takim stopniu. To ich przebranie i surowe zakazy noszenia się po żydowsku sprowadziły ten porządek w miasteczkach. Porządek ten jest wszędzie, zacząwszy od małej szynkowni a skończywszy na poczcie i aptece które w życiu mało miasteczkowem jak wszędzie tak i tu, wielką rolę odgrywają. Zapewne nie jednemu z szanownych Czytelników obił się o uszy system administracyi pruskiej. Jest on wzorowy. Cała rzecz w wykonaniu.—Przepisy mogą być najmądrzejsze w świecie, gdy wykonawcy nie są dość moralnie usposobieni, abyzrobili co do nich należy, cała robota za nic. Z pocztą ma się tak samo. Wybierają ludzi pewnych, którym zaufać można—i ważna rzecz systematycznych. Z przyjemnością oglądałem nieraz całą tę manipulacyję pocztową. Oprócz tego dogodności pełno. Nie tylko po małych miasteczkach ale i we wsiach bardzo gęsto rozsiano stacyje, z których listowy roznosi listy jak to ma miejsce u Was, po dużych miastach. Akuratność w oddawaniu listów i pism—jest zadziwiająca. I to nie na jeden lub dwa dni ale na całe lata rozłożony jest porządek i machina iść musi.

Tyle o świecie w którym się obracamy. Z resztą cicho tu, może nawet za cicho, usadowieni pod Popielową wieżycą, rozmyślamy więcej jak drudzy nad niestałością rzeczy ludzkich, słuchamy pieśni natury i legend których pełne nadgoplańskie strony, gdyż

Co wody mruczą, co w drzew szeleście
Posłyszym czasem wśród nocy,
Wieśniak podsłucha, powie niewieście,
Z tego legenda się mroczy....

Choć więc tu u nas nie wesoło, żyjemy: „boć przecie żyć potrzeba."

*St. Wo.*

# ŚLADY ŻYCIA.

## II.

Tyle życia, ile... w c z y n i e.

Dziwne rzeczy u nas się dzieją. Im pożyteczniejsza jakaś nowość, tem prędzej się starzeje, a mówiąc to mamy na myśli odczyty rzemieślnicze! Pamiętacie zapewne czytelnicy, jakie tłumy cisnęły się w pierwszym roku na tego rodzaju „uczty duchowe" a dziś?.. Dziś, mała salka Towarzystwa Dobroczynności za obszerną się stała.

Tak przynajmniej było na odczycie pierwszym p. Makowieckiego nie wiele lepiej na odczycie drugim p. Głowackiego. Czy na następnych będzie inaczej? Nie chcielibyśmy przesądzać; zdaje nam się jednakże, że ów zapał dla odczytów ostygł, i to właśnie jest faktem więcej doprawdy jak smutnym. Jeżeli bowiem kiedy to dziś nadewszystko, oświata klas rzemieślniczych należy do najżywotniejszych zadań chwili obecnej i nie wahamy się powiedzieć, że dziś widzieć pustki na odczycie rzemieślniczym, to znaczy widzieć cofanie się wstecz—a cofanie podobne wśród klas o jakich mowa tylko ostateczną ruiną grozić nam może. Ależ to znów przesada!— zauważyszzapewne czytelniku. Nie,—to nie przesada, to najistotniejsza prawda. Cóż bowiem np. obecnie oddaje Niemcom najzyskowniejsze u nas gałęzie pracy jeżeli nie wyższy poziom umysłowości zagranicznego rzemieślnika? Narzekamy że Niemcy opanowali nasz przemysł fabryczny, i biorą w swoje ręce rzemiosła, ale też i to przyznać musimy że Niemcy się uczą.— Chcąc więc wytrzymać z niemi konkurencyją, i chcąc tym sposobem mieć własne ekonomiczne mienie, potrzeba również i nam starać się o oświatę ludności rzemieślniczo-fabrycznej— potrzeba ludność tę moralnie i umysłowo podnieść. Brak zaś tej właśnie dążności stwierdzają poniekąd odczyty rzemieślnicze, i z tego też względu, brak ten powtórzymy raz jeszcze, jest objawem więcej jak smutnym. Kto jednakże winien tu głównie? Czy sami ci dla których prelekcyje urządzone zostały? Zapewne niechęć ich czy obojętność w tym względzie niewinną nazwać nie można; lecz kto wie czy nie największa część winy ciąży na tych którzy, poczucie umysłowych potrzeb w pośród oddanych im pracowników najłatwiej bo najbezpośredniej rozbudzać by mogli a którzy jednak obowiązku tego nie chcą jak dotychczas zrozumieć. Przypuśćmy że każdy właściciel warsztatu czy właściciel fabryki, nie przestanie swej „czeladce" przedstawiać znaczenia i pożytku tego rodzaju prelekcyj publicznych,—że do uczęszczania na takowe usilnie zachęcać będzie, że wreszcie przyjdzie nie tylko z moralną ale i materyjalną pomocą; to czyż w takim razie i liczba słuchaczy nie musiałaby się powiększyć. Nieraz już zwracaliśmy uwagę że właściciele większych zakładów fabrycznych, niemniej zarządy dróg żelaznych i t. p. mogłyby przecież dla swych robotników fabrycznych ofiarować po kilkanaście rubli, na kupno biletów co niedziela; dlaczegóż więc rzecz tak niewielkiej dla pracodawców a tak wielkiej dla pracowników wagi — w wykonanie nie wchodzi? Czyż zresztą nasi panowie pracodawcy nigdy nie zrozumieją że oświata klas roboczych w ich własnym również interesie spoczywa?.

Otóż jeszcze odczyty lecz te będą już niewątpliwie więcej pomyślne, bo mają one na celu korzyść jednej z najsympatyczniej przez ogół przyjętej instytucyi jaką są osady rolne:—Chociaż... kto wie? może i sama sympatyja była tylko sympatyją *nowości*? Z tem wszystkiem jednak, cel odczytów przemawia sam za sobą i nie chcemy ani na chwilę wątpić, że przemowa ta choćby tylko dla samego celu trafi publiczności naszej do przekonania a osadom rolnym, przysporzy wdowiego grosza...

Czytelnikom naszym wiadomo już zapewne, że redakcyja *Niwy*, postanowiła przygotować dokładne *sprawozdanie z obecnego stanu kraju*, i wtym celu rozsyła w różne jego strony, umyślnych korespondentów, którzy na podstawie prywatnych i urzędowych źródeł złożyć mają relacyją tak z tego co jest, jak i z możliwych na przyszłość ulepszeń, celem pobudzenia kogo należy, i ułatwienia czytelnikom znajomości własnego kraju. Nie potrzebujemy dodawać jak dalece myśl ta zasługuje na poparcie. Chcący ją ocenić mogą znaleść początek pierwszego sprawozdania (z Kalisza i jego okolic) opracowanego przez p. J. Jeleńskiego naszego współpracownika, w 1-ym N-rze Niwy z r. b. Wtych dniach znów doniosły gazety że po materyjały do drugiego podobnego sprawozdania dla Niwy, (z Kielc i okolicy) wyjechał w te strony p. Kazimierz Łuniewski.

Gospodyniom naszym polecamy jako wyrób krajowy, drożdże prasowane z fabryki litewskiej w Kałkunach. Skład główny tego produktu w Warszawie, mieści się przy ulicy Długiej Nr. 32 w kantorze p. Stillera. Fabryka w Kałkunach założona, z kapitałem 400,000 rs. rozwija się coraz więcej — a zasługuje na poparcie, ponieważ wyroby jej nie ustępują zagranicznym.

O pismach prowincyjonalnych wspomnimy co następuje: „Kaliszanin" i „Gazeta Kielecka" rozwijają się z widoczną starannością, pierwszemu niebrak nawet pewnego ożywienia. Kuryjer Lubelski nędzny jak dawniej, a p. Redaktor ułożywszy się jużz nowonabywcą, obecnie żąda większej zapłaty, i wbrew wszelkim zasadom taktu i rozsądku rozgłasza co numer, że blankiety nowonabywcy są sfałszowane, pomimo że sam już zrobił podanie do Władzy o zmianę tytułu własności. Wobec tego faktu niedziwimy się że dotychczasowa redakcyja nieznalazła u lublinian poparcia. W Częstochowie ma wychodzić nowe pismo „Głos z nad Warty."

Zamieszczając w śladach życia korespondencyją z granicy 3-ch powiatów, Warszawskiego, Błońskiego i Grójeckiego, w Nr. 42 z r. Redakcyja „Opiekuna Domowego" dodała, że ma nadzieję otrzymania od kogoś z tych stron innej, któraby dodatnią stronę, jeżeli jest, podjęła i okazała. Korespondencyją tę nazwała Redakcyja pesymistyczną,—ja nazwałbym ją,

wyrażając się grzecznie, stronną; obrazek bowiem przez nią naszkicowany, mimo pięknych uczuć w początku wygłoszonych, ukochania swego społeczeństwa, chęci widzenia w niem tego tylko co wzniosłe i szlachetne, przechodzi granice prawdopodobieństwa, cóż dopiero prawdy.

Kącik kilkomilowy, korespondencyją tą objęty nie jest to raj ziemski zapewne, ani pod względem moralnym, ani też materyjalnym;— społeczeństwo przecież, kącik ten zamieszkujące, nie zdaje się być bankrutem w jednym i drugim kierunku, tak bezwzględnie jak korespondencyja owa mieć chce. Położenie materyjalne jest trudne;—położenie to jednak jest udziałem nietylko tej okolicy, niechby się p. korespondent rozejrzał, jest ono udziałem mniej więcej kraju całego, — wywołały go przejścia jakie w ostatnich czasach na kraj spadły. Środki do wyjścia z niego przypominają nam często pisma nasze, a i sami dobrze je w pamięci mamy;—środkami temi są: praca i oszczędność i o ile nas stać, do nich się stosujemy. Trudno jednak wybrnąć odrazu z czegoś, na co wiele okoliczności się składało, w Bogu jednak nadzieja, że potrosze podołamy.

Jarmarkomanija, zamiłowanie zielonego stolika, rozrzutna gościnność i t. p. tak srodze wyrzucane nam wady, przed laty może byłyby w korespondencyi pomieszczone na czasie, równie jak przedwiekowa owa bieda szlachecka, która przecież dawniej, niezawsze podobno się szlachty trzymała. Żony i córki nasze biedne, tak ciężko przez p. korespondenta o plotkarstwo, marzenie o niebieskich migdałach, zaczarowanych książętach i pisanie niegramatycznych wierszy czy powieści obwinione, tę przecież jednę znalazły folgę, że im pozwala, chociaż po kątach, w ukryciu przed mężami i ojcami czytać książki, tak w domach naszych wzbronione.

Jako odpowiedź, na rozmowę p. korespondenta z jednym z tutejszych mieszkańców, w końcu korespondencyi pomieszczoną i jego wywody filantropijne w celu przekonania owego ciemnego człowieka a z nim ogółu, o potrzebie innego obchodzenia się z ludem który z nami pracuje, jak również kształcenia go na człowieka, niech posłuży fakt następujący: na zebraniu gminnem, gminy Konic, we wsi Petrykozach, zebraniu zwołanem w celu uchwalenia funduszów na założenie szkoły, obywatele starali się przekonać włościan zgromadzonych o potrzebie takiej szkoły, wiedząc zaś że najcięższą kwestyją dla naszego włościanina jest wydanie miłego grosza na coś podobnego, ofiarowali się podjąć połowę wydatków założenia i utrzymania tejże szkoły. Uchwała pomimo to nie przyszła do skutku, bo się temu strona najwięcej interesowana, interesu własnego nierozumiejąc oparła. Fakt ten niech posłuży za dowód jak prawdziwie korespondencyja kącik nasz obrazuje, kącik którego mieszkańców, biskość Warszawy nawet, z drogi krzywej na prostą, sprowadzić nie jest wstanie.

Zgadzam się z p. korespondentem w tem, że wykazywanie stron ujemnych, jest często środkiem do sprowadzenia stron dodatnich ale wtedy tylko, kiedy strony ujemne są istotnie takiemi, jak je podajemy. Powiększając je lub też z imaginacyi swej je wyprowadzając, byle być bocianem byle korespondencyjkę napisaać, celu się chybia.

Co do samej okolicy, to powiem; — ziemię mamy nie najlepszą i nie ostatnią, zawsze starania około siebie i koszta dla niej podjęte opłacającą. Położenie materyjalne wiele do życzenia pozostawia; — pamiętając jednak że praca cuda tworzy a oszczędność jest wielką jej pomocą, mamy nadzieję że przyszłość potrosze i dla nas jaśniejszą się stanie. Przy pracy i oszczędności nie zapominamy również otem co człowieka najwięcej uszlachetnia, o nauce i moralności;—chociaż pod wszystkiemi temi względami do doskonałości nam daleko.—boć ludźmi jesteśmy...

---

Wielce pokaźny objaw postępu naszego na polu, już nietylko drzeworytniczem ale artystyczno-twórczem, zawdzięczamy p. Lewentalowi wydawcy Kłosów. Świeżo wydany pierwszy zeszyt olbrzymiego albumu Matejki przynosi prawdziwy zaszczyt wydawcy a wszczególności p. Styfiemu drzeworytnikowi który ze znanym talentem odtworzył na drzewie rysunki naszego mistrza Do najpiękniejszych ozdób tego zbioru zaliczamy „Zygmunta i Barbarę“ oraz „Wtrącenie do więzienia Maćka Borkowicza.“ Są to utwory streszczające w sobie całe poematy. Zrobilibyśmy tylko zarzut że proste portrety z pieczęci i modelów kopijowane, mniej odpowiadają podniosłemu charakterowi istotnie artystycznego albumu i bezpiecznie mogły być z niego wyłączone.

Zasługą wydawcy jest jeszcze, oparcie wydawnictwa na siłach wyłącznie krajowych.

---

Jedną z chronicznych słabości naszego poczciwego miasteczka, jest opera włoska. Wyśmiewamy się z niej, ale chodzimy, płacąc wyższe ceny. Jeżeli jednak, niewinna ta zresztą słabość da się usprawiedliwić artystycznemi popędami ogółu, który zawsze gotów probować, czy przypadkiem niebędzie zaspokojony— to za to dziwnem nam się wydaje, owa skwapliwość dyrekcyi w sprowadzaniu ladajakiej truppy. Sprowadzajcie! ale sprowadzajcie lepszą od naszej. Bo pocóż u Pana Boga, mamy płacić wyłącznie za śniade oblicza i czarne oczy synów i cór południowych? A przytem w r. b. Dyrekcyja dziwnie się urządziła, robiąz p. Ciaffei kontrakt ogółowy, który ani nieskłania przedsiebiercy do staranniejszego doboru artystów, ani niepobudza tych ostatnich do zasługiwania sobie na względy publiczności.

Jednem słowem, nie mamy nic przeciwko włoszkom, ale też nie mamy ochoty płacenia za to tylko, że są włoszkami, a dzisiejsza truppa z małym wyjątkiem niczem się więcej nieodznacza.

---

Z nowin teatralnych notujemy jeszcze, że odbywają się próby z nowego dramatu p. Rapackiego „Wit Stwosz“ który prawdopodobnie będzie miał trwałe powodzenie — a najmniejsze też obiecywać można przedśmiertnej pracy J. Chęcińskiego: „Krytycy“—którą obecnie gazeta *Wiek* drukuje w odcinku, a czysty dochód z odbitki przeznacza na rzecz pozostałej po artyście rodziny.

Nakładem księgarni Gubrynowicza i Szmita we Lwowie ma wyjść „Pierwsze zupełne najtańsze wydanie pism Zygmunta Krasińskiego, uskutecznione za zezwoleniem rodziny ś. p. wieszcza i zaopatrzone obszernym życiorysem. Wydanie to zawierać będzie utwory nie umieszczone dotychczas ani w Paryskiej ani w Lipskiej edycyi wielkości około 60 arkuszy druku.

---

# ROZMAITOŚCI.

Z postępem cywilizacyi nieustannie powiększają się potrzeby wyrobów papierowych, a że fabrykacyja takowych nie rozwija się u nas w odpowiednim stosunku, stąd ceny wszelkich gatunków papieru, bibuły i tektur z każdym rokiem idą w górę. W Królestwie według danych statystycznych, mamy 22 fabryki papieru, których roczna produkcyja przedstawia wartość 280,000 rs.

Fabryki te nie mogą zaspokoić żądań i pod tym względem o wiele pozostajemy w tyle po za rozwojem papiernictwa za granicą.

Toż samo stosuje się i do wyrobów papieru w Cesarstwie Rossyjskiem, skąd lubo w ostatnich czasach zrobiono tam wielkie pod tym względem postępy, wywóz szmat za granicę, corocznie wzrasta i w ciągu 10 lat 1860—1870 od sumy 145,291 rubli doszedł do 777,985 rs. czyli powiększył się o 5, 3 raza.

Do połowy obecnego stulecia masa papierowa przeważnie była wyrabiana ze szmat i kory drzewnej.

Wprawdzie od dawna już były czynione doświadczenia w celu zużytkowania na wyrób masy papierowej, trzciny chemicznie przerobionej, chmielu i t. p. ale próby te nie doprowadziły do praktycznych rezultatów. Tym czasem papier stawał się coraz bardziej potrzebnym a cena szmat znacznie się podniosła.

To skłoniło do wyrabiania masy drzewnej, lecz takowa w krajach zachodniej Europy także drogo wypadła, skutkiem tego, wpośród fabrykantów niemieckich powstała myśl skorzystania z idei ich ziomka Johana Schöffera. Idea tego uczonego zasadzała się na tem, aby słomę spożytkować jako surogat przy fabrykacyi papieru. Korzyści z zamiany szmat i masy drzewnej na słomę okazały się niezaprzeczalnemi. Pud masy drzewnej kosztuje Rs. 3 kop. 20 szmaty prawie tak samo, a koszt wyrobu masy słomiannej, nie przewyższa Rs. 1 kop. 60 za pud.

Urządzenie zaś fabryki, w zastosowaniu jej do dziennej produkcyi 60 do 70 pudów masy ze słomy, kosztuje 7,000 rubli.

Takie porównanie wyprowadza p. Stulczyński, który po zbadaniu rozwoju i obecnego stanu przemysłu papierniczego za granicą, w dniu 28 Września v. s. r. z. spostrzeżenia swe i wnioski przedstawił na posiedzeniu ruskiego towarzystwa technicznego w Petersburgu. P. Stulczyński wykazuje, że w obecnym czasie są trzy sposoby wyrabiania masy papierowej ze słomy: belgijski, Lagussa i Kaufmana, w ogóle podobne do siebie i *tylko* różniące się w szczegółach.

Za najbardziej prosty i dogodny uznaje sposób Kaufmana, który polega na tem, że rznięta

i oczyszczona słoma, kładzie się do odpowiednio urządzonego kotła, w którym gotuje się w płynie zawierającym 14% ługu; płyn zaś ten i słoma w nim pogrążona, poddają się wysokiemu ciśnieniu ($4\frac{1}{2}$ atmosfery). Otrzymana masa przemywa się kilka razy gorącą wodą i nakoniec bieli się wapnem. Pierwszeństwo sposobu Kaufmana przed innemi polega na tem; że otrzymywana masa papierowa, bywa doskonale rozmiażdżona, a skutkiem tego wymaga tylko 12% wapna blicharskiego, kiedy według innych sposobów potrzeba tego materyjału 14%. Drugą dogodność stanowi oszczędność czasu: cały proces Kaufmana trwa tylko 3 godziny, kiedy przy belgijskim sposobie potrzeba 4—5 godzin, a przy sposobie Lagussa 7. Słoma do téj fabrykacyi używa się pszenna lub żytnia.

Wyrób masy słomianej już się upowszechnia w Rossyi i p. Stulczyński wskazuje, że w fabrykach Wargunina i Wathmana, wprowadzono sposób Lagussa, w gubernijach zachodnich sposób belgijski, a na południu sposób Kaufmana.

U nas fabryka papieru w Soczewce wyrabiała papier ze słomy, który przedstawiała na wystawie w Moskwie, jeszcze w roku 1853, podobnież papier ze słomy wyrabia się i w innych fabrykach naszych; tem niemniej jednak na wywody p. Stulczyńskiego zwracamy uwagę tych, którzy będą mieli zamiar wprowadzić ulepszenia, lub założyć nową fabrykę.

* * *

— Wiadomo, że wszystkie wielkie gazety, wydawane w zachodniej Europie i Ameryce, przysłały do Berlina swych korespondentów, iżby im komunikowali szczegóły o procesie hrabiego Arnima. Lecz pod tym względem wszystkich wyprzedziła *Gazeta Kolońska;* urządziła ona od początku procesu, swoim kosztem oddzielny drut na linii telegraficznej z Kolonii do Berlina, którym bez przerwy przesyłano sprawozdania stenograficzne o procesie hrabiego Arnima. Oprócz tego przedsięwzięta była ostrożność na wypadek zepsucia się drutu, oraz zwłoki lub przerwy w przesyłce telegrafem. W tym celu, na rachunek redakcyi *Gazety Kolońskiej*, na stacyi Anhaltskiej drogi żelaznej, w Berlinie, zamówiony był parowóz, który miał bezwłocznie, na pierwsze zażądanie, udać się ze sprawozdaniem z procesu hrabiego Arnima i przybyć do Kolonii w ciągu 7 lub 8 godzin. Nie przyszło do użycia lokomotywy, lecz ostrożność ta kosztowała *Gazetę Kolońską* 3,150 fr. na dobę, a ponieważ proces trwał sześć dni, przeto na parowóz wydano 18,900 frank.

* * *

W ciągu upłynionego 1874 r. peryjodyczne wydawnictwa Warszawskie rozchodziły się jak następuje:

Biblijoteka Warszawska ex. 800. Biblijoteka umiejęt. prawnych ex. 300, Biblijoteka Romansów i powieści ex. 600. Dzienniki Warszawski ex. 1000 Gazeta Warszawska ex. 3600 Gazeta Polska ex. 3000. Wiek ex. 3500. Gazeta Handlowa ex. 1500. Kuryjer Warszawski ex. 7800. Kuryjer Codzienny ex. 4000. Kronika Rodzinna ex. 1000. Bluszcz ex. 4000. Gazeta Lekarska ex. 1000. Gazeta Przemysłowo-Rzemieślnicza ex. 500. Gazeta Rolnicza i Kuryjer Rolniczy ex. 1300. Kolce ex. 900. Tygodnik Rolniczy ex. 880. Tygodnik Illustrowany ex. 4500.. Tygodnik Mód i Powieści ex. 1650. Tygodnik Romansów ex. 3500. Gazeta Sądowa ex. 700. Przyroda i Przemysł ex. 900. Izraelita ex. 900. Kłosy ex. 5500. Opiekun Domowy ex. 1700. Ognisko Domowe ex. 540. Niwa ex. 700. Przegląd Katolicki ex. 2000. Przegląd Tygodniowy ex. 2200. Przyjaciel Dzieci ex. 2400. Wędrowiec ex. 1800. Zorza ex. 800.

* * *

Dzieło księdza Laforeta, Doktora Teologii, b. profesora Filozofii i Rektora Uniwersytetu Lowańskiego, pod tytułem *Dogmaty Katolickie*, ich wykład, dowody i obrona przeciwko zarzutom niedowiarstwa, przełożone z francuzkiego przez księdza Julijana Ołdakowskiego, Kandydata Teologii, mają wyjść wkrótce z druku na widok publiczny.

* * *

Jakiś Amerykanin, nie mając nic lepszego do czynienia, zabrał się do wypośrodkowania, za pomocą doświadczeń, wagi zwyczajnej muchy pokojowej. W końcu sprawdził, że na funt idzie 48,000 takich much. Pokazuje się z tego dodaje dziennik amerykański, któremu zawdzięczamy tę „ważną" wiadomość—do jakiego stopnia dochodzi złośliwość ludzka, kiedy wielu jest takich, co półgodziny łają restauratora, gdy w kotlecie, ważącym ćwierć funta, poda im upieczone cztery muchy wszystkiego!

* * *

— Książe Bismark najwięcej się procesuje ze wszystkich ludzi żyjących. Do d. 1 listopada r. z. przesłał on do rozmaitych sądów nic więcej tylko 784 skarg—i to wyłącznie przeciwko redaktorom dzienników, rządowi nieprzychylnych. W tych 784 skargach zapadło już 610 wyroków, skazujących redaktorów razem na 39 lat i 9 miesięcy więzienia.

* * *

Von-Dreyse, wynalazca iglicówki, jak donoszą gazety berlińskie, wynalazł nowy karabin, który ma przewyższać znacznie iglicówkę i jeżeli się to potwierdzi, wprowadzony będzie w armi niemieckiej.

## Odpowiedzi Redakcyi.

P-u *Hilar. Fedkowi... (Maryi Sz...) w Kosarzyńcu.* Szczegółowe wiadomości o zakładzie rękodzielniczym dla kobiet, istniejącym w Warszawie—podaliśmy w Nr. 52 Opiekuna Dom. z r. z. Przełożonym jest p. Edward Łojko—Nadzorczynią P-ni Aleksandra Hirszberg. Adres Warszawa, Plac Zielony, dom Hr. Zamojskiego Nr. 10. P-ie Parczewskie utrzymują zakład podobny w Kaliszu—Kalisz jest miastem gubernijalnem. Z Warszawy komunikacyja drogą żelazną do st. Kutno, a stąd do Kalisza chodzą omnibusy pocztowe.

P-ni *Emilii Szaul... w Sałach.* Dalsze tomy z Wydawnictwa Wychowanie Domowe będziemy posyłać Pani.

P-u *Lutz .. w Mazowiecku.* Dodatek za Listopad i Grudzień wysłany był przy Nr. 51 reklamacyją sprawdzimy w urzędzie pocztowym.

P-u *Rob. Her w Szlossbergu.* Posyłamy po raz drugi.

P-u *Longinowi Klim... w Kownie.* Kalendarz powtórnie posyłamy.

P-u *Mazur...w Druskienikach.* Kalendarz posyłamy.

P-u *Ludwikowi Kotel... w Piotrkowie.* Wszystkie dodatki wydane i odesłane—racz pan o nie upomnieć się w księgarni lub w kantorze skąd pismo nasze wypisywałeś.

P-ni *A. Terleckiej w Bochaczowie.* 2 brakujące tomy posyłamy—dalsze odsyłać będziemy w miarę wychodzenia.

P-ni *Zofii Jakub. w Kościeszowie.* Nr. 49 powtórnie posyłamy.

P-u *Rufinowi Strum... w Krasnem.* Nr. 40 powtórnie posyłamy—posyłamy również „Jak uczyć historyi."

P-u *Józefowi Strusiewicz w m. Złotoust gub. Ufimskiej.* Bezpłatne dodatki wszystkieśmy P-u posłali. Dalsze tomy z Wyd. „Wych. Dom." będziemy nadal posyłać.

P-u *Stak... w Pobikrach.* Powtórnie posyłamy.

P-ni *Fran. Wiśniewskiej w Popówce.* Dalsze tomy posyłać będziemy. Opóżnienie z przyczyn od nąs niezależnych.

P-u *Maksymowi Kempińskiemu w Sieradzu.* Serdecznie dziękujemy za życzenia.

# OGŁOSZENIA.



## SPROSTOWANIE.

W N. 1 Opiekuna Domowego zaszły niektóre pomyłki a mianowicie: str 9 łam 3 wiersz 64 zamiast — tak samo. Aleksander: powinno być. Tak samo Aleksander i t. d.

W Korespondencyi ze Lwowa str. 13 łam 3 wiersz 63 zamiast no ilu? powinno być na stu i t. d.


Дозволено Цензурою.—W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.